



Caroline Anderson



***Tych świąt
miało nie być***

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Musimy porozmawiać.

Przygnębiona Amelia spojrzała na siostrę. Jej mina nie wróżyła nic dobrego. Wcześniej dochodziły z dołu odgłosy kłótni, ostry, nieprzyjemny ton głosu szwagra, trzaśnięcie drzwiami, wreszcie kroki na schodach. Wiedziała, czego się spodziewać. Tylko co ma teraz począć?

- Tak się dłużej nie da - stwierdziła spokojnie.

- Nie da się - przytaknęła Laura, której wyraźnie ulżyło, że siostra ułatwia jej wyjście z niezręcznej sytuacji. Kolejny raz. Nerwowo zacisnęła i rozprostowała palce. - Nie chodzi o mnie. To Andy. A właściwie chodzi o dzieci. Wszędzie się kręcą, hałasują. Małeństwo płacze po całych nocach. Andy jest przemęczony. Cieszył się, że wypocznie w czasie świąt, a w tych warunkach się nie da... To nie jest niczyja wina, Millie. My po prostu nie jesteśmy przyzwyczajeni do dzieci. A w dodatku pies, to już przesada. Bardzo mi przykro, ale byłabym wdzięczna, gdybyś znalazła sobie inne lokum. Najlepiej zaraz po świętach.

Amelia przerwała składanie wypranych ubrań dziecięcych. Energicznie pokręciła głową. Nie zostanie ani chwili dłużej w miejscu, gdzie jest traktowana jak piąte koło u wozu, a co gorsza, jej dzieci są najwyraźniej niechciane, co jest bluźnierstwem w uszach każdej matki.

- Nie ma sprawy. I tak nadużyliśmy waszej gościnności. Wyprowadzimy się jeszcze dzisiaj. Pozbieram tylko ich rzeczy i będziesz miała problem z głową.

- Przecież mówiłaś, że nie masz dokąd pójść? - zreflektowała się Laura.

Bo nie miała. Nie miała też pieniędzy, ale to nie jest problem jej siostry.

- Nie martw się - powtórzyła. - Kate nas przyjmie.

Gdyby tylko miała gdzie. Kate mieszkała z Megan w niewielkim domku z trudem wystarczającym na potrzeby samotnej matki z córką. Nie było siły, by znalazło się w nim miejsce dla czterech dodatkowych osób oraz psa. Jednak Laura nie mogła o tym wiedzieć, więc przyjęła deklarację siostry z widoczną ulgą.

- Pomogę ci spakować rzeczy - oznajmiła pospiesznie i zniknęła, zapewne z zamiarem przeczesania całego domu i pozbycia się wszelkich śladów po najeździe małych barbarzyńców.

Amelia bezsilnie oparła się o ścianę, bezskutecznie walcząc z napływającymi do oczu łzami. Zostało dwa i pół dnia do Bożego Narodzenia.

Dni krótkie, ciemne, gdy wszyscy zajęci są przedświąteczną krzątaniną, są najgorszym okresem na poszukiwanie mieszkania i pracy. Co gorsza, zima dawała się we znaki, więc odpada biwakowanie w samochodzie. Miała w baku tylko tyle paliwa, by zachowując resztki dumy, opuścić niegościnnie progi.

Duma - tylko to jej pozostało.

Westchnęła ciężko i zaczęła upychać do toreb ubrania dzieci. Trzeba je od razu posegregować. Rzeczy potrzebne na najbliższą dobę do bagażu podręcznego. Resztę uporządkuje później, gdy znajdzie jakieś wyjście z tej ślepej uliczki. Spakowała rzeczy dzieci, potem własne, pozbierała ich zabawki, starając się nie użalać nad sobą.

Później się nad wszystkim zastanowi. Teraz trzeba się stąd wynieść, zanim się zupełnie rozklei, a wcześniej pozbierać w pośpiechu resztę rozrzuconego dobytku. Zniosła na dół liczne torby i zostawiła je w holu przy drzwiach, następnie skierowała się do salonu, w którym Kitty i Edward, leżąc na brzuszkach na dywanie, oglądali telewizję. Pies usadowił się między nimi.

Na szczęście nie przyszło im do głowy rozłożyć się na kanapie.

- Kochani! Poszukajcie swoich zabawek. Odwiedzimy Kate i Megan.

- Teraz? - zdziwił się Edward. - Zaraz będzie lunch.

- Kate zaprosiła nas na lunch? - ucieszyła się Kitty.

- Zrobimy jej niespodziankę. - Ciekawe, jaką będzie miała minę, myślała Amelia, zacierając za sobą wszelkie ślady katastrofalnej w skutkach wizyty.

- Dlaczego się pakujemy, skoro wychodzimy tylko odwiedzić Kate i Megan? - dobiekała Kitty, ale Edward szybciej zorientował się w sytuacji i skutecznie odwrócił jej uwagę. Dzięki Bogu. Co by poczęła bez swojego małego ośmioletniego mężczyzny?

W kuchni natknęli się na Laurę.

- Tu są butelki małego - powiedziała, podając je Amelii. - Wyjęłam też butlę ze zmywarki.

- Dziękuję. Obudzę dziecko, złożę łóżeczko i już nas nie ma.

Wróciła na piętro. Biedny Thomas. Marudził troszkę, ale zaraz usnął w jej ramionach. Z dzieckiem na ręku złożyła łóżeczko podróżne i zniosła je na dół. Na widok sterty tobołków przy drzwiach przez chwilę miała ochotę poprosić szwagra o pomoc w przeniesieniu ich do samochodu, ale zaraz tę myśl odrzuciła. Zaszył się w swoim gabinecie, zatrzaskując za sobą drzwi.

Trudno. To jej oszczędzi wymuszonej grzeczności.

Zapięła dziecko w foteliku samochodowym. Lodowate powietrze obudziło małego, zaczął głośno płakać. Amelia szybko wrzuciła cały dobytek do bagażnika. Zapięła pasy starszym dzieciom i wpuściła psa do auta z przodu, po czym odwróciła się do siostry.

- Dziękuję za gościnę. - Spojrzała jej w oczy, nie pokazując po sobie, jak bardzo czuje się zraniona. - Przepraszam za wszelkie kłopoty.

Twarz Laury wyrażała mieszaninę ulgi i zażenowania.

- Daj spokój, Millie. Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że jakoś sobie wszystko poukładasz. Weź, proszę, to dla dzieci. - Podała jej torbę pełną pięknie opakowanych prezentów, zapewne bardzo drogich - jakby to miało największe znaczenie w czasie świąt.

Amelia wzięła je machinalnie, działając trochę jak automat.

- Dziękuję. Nie zdążyłam nic dla was przygotować.

- Nieważne. Mam nadzieję, że znajdziesz jakieś miłe miejsce dla siebie i dzieci. Wiem, że masz problemy finansowe, więc może to pozwoli ci na zapłacenie najmu albo przynajmniej zadatku za pierwszy miesiąc...

Spojrzała na czek zdumiona.

- Nie mogę tego przyjąć.

- Możesz. Proszę. Jeśli wolisz, potraktuj to jako pożyczkę, ale weź. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

- Oddam ci przy pierwszej sposobności.

- Nieważne. Wesołych świąt.

- Wzajemnie. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem, niezdolna w tej chwili do składania życzeń i ściskania się z siostrą.

Wskoczyła do samochodu, rzuciła torbę z prezentami na przednie siedzenie i odjechała.

- Mamusiu, dlaczego zabieramy do Kate Rufusa, prezenty i łóżeczko Thomasa? - zapytała Kitty.

Niech diabli porwą Laurę. I Andy'ego. A w pierwszej kolejności Davida. Opanowała się i posłała córeczce uśmiech przez ramię.

- Nie zostaniemy u cioci Laury i wujka Andy'ego. Po lunchu poszukamy sobie innego miejsca.

- Dlaczego? Już nas nie lubią?

- Jasne, że lubią. Potrzebują tylko trochę spokoju.

- Dokąd pojedziemy?

To było trafne pytanie, a Millie wiele by dała, by znaleźć jakąkolwiek odpowiedź.

Rozległ się złowieszczy odgłos.

Jake w jednej chwili zorientował się, co on oznacza. Zaszło mu w gardle, serce zaczęło łomotać. Zerknął do tyłu, zaklął i całym pędem poszusował w dół, starając się zjechać jak najdalej w bok, by nie zagarnęła go schodząca z boczem góry lawina.

W jednej chwili znalazł się w śnieżnej kurzawie, która go dławiała i oślepiała, a za jego plecami z niesamowitą szybkością sunął ryczący żywioł. Śnieg zapadał się pod nartami, ziemia umykała spod stóp, lodowy pył wirował w powietrzu, gdy ogromny nawis oderwał się od skalnej grani i runął w dół, porywając ze sobą wszystko, i z coraz większą szybkością zmierzał ku podnóżu górskiej doliny.

Zjeżdżał na ślepo, modląc się w duchu, by kępa drzew, którą widział z góry, znajdowała się teraz gdzieś nad nim, a nie przed nim. Jeśli wjedzie w las z tą prędkością, skutki będą fatalne. Skręci sobie kark.

Chwilę później przekonał się, że były przede wszystkim niewyobrażalnie bolesne. Zrobił zwód, odbił się od pnia, po czym jakaś siła uniosła go w powietrze, przekotłowała i rzuciła na kanciaste głązy.

Do diabła!

W ostatnim przeblysku świadomości uruchomił poduszki powietrzne plecaka, po czym lawina rzuciła go na kamienie.

- Możemy się wprosić na lunch?

Kate na ich widok otworzyła szerzej drzwi i gestem zaprosiła do środka.

- Co się dzieje? - spytała zaniepokojona.

- Przyjechaliśmy na obiadek - wyjaśniła Kitty. - A potem poszukamy sobie innego domu, bo ciocia Laura i wujek Andy już nas nie chcą. Mamusia mówi, że potrzebują spokoju, ale ja myślę, że po prostu nas nie lubią.

- Z pewnością was lubią, kochanie. Są po prostu bardzo zajęci.

Kate popatrzyła na Kitty z psem przy nodze, na Edwarda stojącego cichutko z zaszępioną miną i wreszcie na przyjaciółkę.

- Nieźle sobie wybrali czas - mruknęła do niej.

- Mnie to mówisz? - jęknęła Amelia. - Poradź mi, co teraz robić.

Kate zaśmiała się histerycznie, ale opanowała się szybko i wsunęła dzieciom torebkę czekoladowych pieniążków.

- Zajmijcie się tym, a mamusia i ja sobie porozmawiamy. Megan - zwróciła się do córki - podziel się ładnie i nie podkarmiaj Rufusa czekoladkami.

- Zawsze się dzielę! Chodźcie ze mną. Rufus, uspokój się, to nie dla ciebie.

Kate pociągnęła Amelię w drugi kąt długiego wąskiego pokoju, który pełnił rolę jadalni i salonu w tym niewielkim domku, nastawiła wodę na herbatę i spojrzała na przyjaciółkę pytająco.

Amelia usiadła i ułożyła Thomasa na kolanach.

- Oni nie są przyzwyczajeni do dzieci. Nie mają własnych. Teraz nie jestem pewna, czy dlatego, że nie mogą, czy raczej z wyboru - wyjaśniła półgłosem.

- Wasza obecność to była za duża dawka rodzinnego szczęścia?

- Pies wlaził na kanapę, a mały ząbkuje. - Amelia uśmiechnęła się krzywo.

Kate ze współczuciem patrzyła na dziecko, niespokojnie kręcące się w ramionach matki.

- Amelio, bardzo mi przykro. Nie chce mi się wierzyć, że wyrzucili cię tuż przed Bożym Narodzeniem.

- Niezupełnie. Chcieli, abym się za czymś rozejrzała zaraz po świętach, ale...

- Ale?

- Duma weszła mi w paradę - przyznała łamiącym się głosem. - A teraz moje dzieci nie mają się gdzie podziać. Nikt mi nie wynajmie domu, bo nie mam pracy, a na razie nie widzę na to szans, zważywszy na mizerne efekty dotychczasowych poszukiwań. A przecież rozsyłałam CV na lewo i prawo. Nawet gdyby mi się udało, żadna agencja nieruchomości nie znajdzie mi mieszkania tuż przed świętami. Mogłabym zabić Davida za niepłacenie alimentów.

- Popieram. Chętnie będę świadczyła w sądzie na twoją korzyść. - Kate przygryzła wargi i zmarszczyła brwi, jakby jej nagle coś przyszło do głowy. - Tak sobie myślę...

- Co takiego?

- Mogłabyś zamieszkać w domu Jake'a. To mój szef. Chętnie zatrzymałabym was u siebie, ale w Boże Narodzenie przychodzą na obiad moi rodzice i siostra, więc i tak z trudem się pomieścimy, a u Jake'a jest bardzo dużo miejsca. Wróci dopiero w połowie stycznia. Zawsze w okolicy Bożego Narodzenia wyjeżdża na cały miesiąc. Zamyka biuro, daje wszystkim trzytygodniowy płatny urlop i wyjeżdża z kraju. Zostawia mi klucze, żebym miała na wszystko oko. Ma wspaniały dom, wprost wymarzony, żeby tam spędzić święta.

- Zgodzi się?

- Jake? Ani go to ziębi, ani grzeje. Ten dom ma kilkaset lat, niejedno przetrzymał, więc przetrwa i waszą wizytę. Zresztą jakie szkody moglibyście tam zrobić?

- Nie powinnam... - wyszeptała spłoszona Amelia.

- Puknij się w głowę. Dokąd pójdziesz? Zresztą przy tych mrozach i tak trzeba dom ogrzewać. Jestem pewna, że Jake będzie ci wdzięczny, gdy się tym zajmiesz. To człowiek z sercem na dłoni. Gdyby mógł, sam by cię zaprosił. Słowo.

Amelia zawahała się. Kate wydaje się pewna swego.

- Zadzwoń do niego - poprosiła. - Powiedz, że mu zapłacę, kiedy tylko zacznę zarabiać.

- Nie mogę. W tej chwili nie mam z nim żadnego kontaktu. Jestem pewna, że powiedziałaby „tak”.

- W takim razie nie mogę skorzystać - oznajmiła ponuro Amelia. - Bez pytania...

- Przestań, Millie. Wszystko będzie w porządku. Jake prędzej by sobie rękę obciął niż zostawił cię bezdomną na Boże Narodzenie. Z pewnością nie weźmie od ciebie pieniędzy. Sam by cię zaprosił, gdyby o tym wiedział.

Wahała się jeszcze, ale Kate sprawiała wrażenie stuprocentowo pewnej własnych słów, a zresztą, mówiąc prawdę, nie miała wyjścia. Nie stać ją na skrupuły.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Lodówka pewnie jest pusta, bo gospościa wyczyściła ją przed urlopem, ale dam ci chleb i coś do chleba, a tam znajdziesz pełną zamrażarkę i spiżarnię. Możesz się poratować zapasami Jake'a, a potem mu odkupić. Teraz coś ugotuję, po lunchu pojedziemy tam razem i pomogę ci się rozgościć. Zobaczysz, będzie fantastycznie!

- Gdzie będzie fantastycznie? - dopytywała Kitty, umorusana czekoladą.

- W domu mojego szefa. Wyjechał, ale zaprasza was do siebie.

- Zaprasza? - mruknęła z powątpiewaniem Millie.

- Zrobiłby to, gdyby tylko mógł - uśmiechnęła się promiennie Kate. - Teraz zjedźmy lunch i w drogę.

Kate nie przesadziła ani odrobinę.

To był wspaniały stary dwór w stylu szlacheckich posiadłości z epoki Tudorów. Kiedyś mieszkali tu właściciele ziemscy, wyjaśniła Kate, potem był pensjonat i ekskluzywny klub ziemski, aż wreszcie dom trafił w ręce Jake'a, który w nim zamieszkał, a budynki po drugiej stronie ogrodu przerobił na biuro. Na terenie posiadłości były też basen, sauna i kort tenisowy, a wszystko to dostępne dla pracowników biura i ich rodzin.

Kolejny dowód wielkoduszności ich szefa.

Jednak dopiero na widok domu Amelia poczuła, że musi tu spędzić święta. Stare mury ze spłowiałej czerwonej cegły, duży kolumnowy ganek z trójkątnym szczytem, ciężkie dębowe drzwi, na których kolejne generacje mieszkańców odcisnęły swoje ślady, ogromny hol wejściowy, na widok którego nawet dzieciom odebrało mowę.

- Jejku - wydusił z siebie Edward po dłuższej chwili.

Rzeczywiście, jejku. Amelia rozglądała się, nie wierząc własnym oczom. Miała wrażenie, że przeniosła się w czasie. Po lewej stronie wielkie dębowe schody prowadzące na piętro; kilka par drzwi wokół holu najwyraźniej kryjących za sobą reprezentacyjne pomieszczenia.

Powiodła ręką po poręczy, kiedyś rzeźbionej, teraz wygładzonej przez ludzkie ręce, które jej dotykały, wspierały się na niej, gładziły przez czterysta lat - i wyobraziła sobie kolejne pokolenia mieszkańców: sędziwych, w kwiecie wieku i zupełnie młodych; dzieci, które tu przychodziły na świat, dorastały, starzały się i umierały, bezpieczne pod dachem tego majestatycznego, wspaniałego domostwa. Może to niemądre, ale gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, poczuła się tak, jakby stary dom ją witał i obiecywał, że zmartwienia może zostawić za progiem.

- Chodźcie, oprowadzę was - powiedziała Kate i ruszyła korytarzem w lewo.

Dzieci dreptały za nią, wciąż oszołomione. Dywan pod ich stopami ma ze trzy centymetry grubości, pomyślała Amelia, prawdziwy kosztowny dywan, a nie tania wykładzina. Właściciel musi być prawdziwym bogaczem.

Kiedy Kate wprowadziła ich do olbrzymiego salonu z wielkim wykuszowym oknem wychodzącym na wielki park, podejrzania Amelii zamieniły się w pewność.

Jake jest nieprzyzwoicie bogaty. Obłądnie, bajecznie bogaty, bez wątpienia.

A jednak porzuca ten piękny dom, by w Boże Narodzenie szaleć gdzieś na stoku narciarskim we Francji czy Szwajcarii.

Wzruszyła się niemal do łez na myśl o nieznanym człowieku, który z taką pieczołowitością urządził swoje mieszkanie, ale najwyraźniej uciekł z niego, nie chcąc spędzać w pojedynkę najbardziej rodzinnych świąt w roku.

- Dlaczego wyjechał? - zwróciła się do Kate.

- Nie mam pojęcia - wzruszyła ramionami przyjaciółka. - Jake nikomu się nie zwierza. Nikt go na tyle nie zna. Jestem jego asystentką od kilku lat, od momentu, kiedy przeniósł tu z Londynu swój biznes, ale nawet mnie nie opowiada o swoich prywatnych sprawach.

- To smutne.

- Jake nie jest smutny. Jest impulsywny, ma zwariowane pomysły, ale prawie zawsze dobrze na tym wychodzi. Życie osobiste zachowuje dla siebie. Trzyma nas na dystans. Właściwie nic o nim nie wiemy, chociaż on zawsze pyta o nasze rodziny. Nigdy nie zapomina o pozdrowieniach dla Megan. Myślę, że jest urodzonym samotnikiem i zapalonym narciarzem, dlatego wyjeżdża. Zobaczmy teraz resztę domu.

Wrócili do holu. Gruby dywan tłumił odgłos kroków. Kate otwierała po kolei wszystkie drzwi, pokazując kolejne pokoje.

Jadalnia z ogromnym stołem i boazerią na ścianach. Kolejny salon, mniejszy od pierwszego, z wielkoekranowym telewizorem plazmowym, imponującą biblioteką i wysłużonymi skórzanymi kanapami, sprawiający wrażenie ulubionego miejsca gospodarza.

Nie zaglądali do jego prywatnego gabinetu, za to Kate zaprowadziła ich do pokoju, który nazwała pokojem śniadaniowym - kolejną jadalnią, ale mniej formalną niż poprzednia, z dębowymi panelami na podłodze i solidnym drewnianym stołem, który wydawał się reliktem z zamierzchłej przeszłości i przywoływał na pamięć obrazy mnichów zgromadzonych na posiłku w refektarzu.

Kuchnia okazała się miejscem zaprojektowanym na potrzeby dużej rodziny: była przestronna, z jasnoniebieskimi szafkami i dużymi roboczymi blatami, lśniąca białą czteropalnikową kuchenką pod dużym okapem i wysokim granitowym stołem, otoczonym barowymi stoikami. To była kuchnia z marzeń i snów, więc Amelia oniemiała na jej widok.

Dzieci rozglądały się wokół w pełnej zachwyty ciszy. Kitty powiodła paluszkami po granitowej powierzchni blatu, wpatrzona w zatopione w kamieniu połyskujące iskielki. Edward pierwszy odzyskał głos.

- Zostaniemy tu? - spytał błagalnie.

- Raczej nie.

- Oczywiście, że tak! - zdecydowała Kate. - W końcu chodzi tylko o tydzień lub dwa tygodnie. Chodźcie obejrzyć sypialnie.

Amelia posadziła Thomasa na biodrze i ruszyła za przyjaciółką po skrzypiących schodach. Dzieci z podziwem słuchały opowieści Megan, która zdawała im relację ze swoich wcześniejszych pobytów w tym domostwie.

- To jest pokój Jake'a - rzekła Kate, ale nie wprowadziła ich do środka.

Amelia nie mogła opanować ciekawości. Jak wygląda apartament pana domu? Jest urządzony z przepychem? Cechuje go prostota i nowoczesność? A może wręcz klasztorna asceza?

Nie, ten mężczyzna docenia rozkosze życia, pomyślała, dotykając zasłon okiennych w sypialni dla gości, którą pokazała jej przyjaciółka. Czysty jedwab podbity miękką tkaniną dla ocieplenia. Dbalność o każdy szczegół stwarzała wrażenie wygodnego luksusu.

- Wszystkie pokoje są takie, poza tymi na poddaszu, które są nieco skromniej wyposażone. Możecie wybierać i przebierać, ale sugerowałabym właśnie facjatki na samej górze, są bardziej przytulne.

- Ile tu jest sypialni? - spytała zdumiona Amelia.

- Dziesięć. Siedem ma własne łazienki: pięć na pierwszym piętrze, a dwie na drugim. Są jeszcze trzy na poddaszu, ale tam jest wspólna łazienka. Jake często gości tu swoich biznesowych klientów i wszyscy zachwycają się jego posiadłością. Byli nawet ludzie, którzy próbowali ją od niego odkupić, ale on tylko się śmieje i odmawia.

- Wcale się nie dziwię. Ale co będzie, jeśli coś zniszczymy?

- Niczego nie zniszczycie. Ostatni z jego gości rozlał w sypialni cały dzbanek kawy. Jake tylko wzruszył ramionami i kazał zamówić pranie dywanów.

Amelia nie chciała przypominać, że był to gość zaproszony przez pana domu, a więc przyjaciel lub współpracownik, a nie przypadkowy intruz.

- Pokażesz nam pokoje na poddaszu? Te skromniejsze? Myślę, że bardziej do nas pasują.

- Oczywiście. Megan, zaprowadź Kitty i Edwarda do swojego ulubionego pokoju.

Dzieci pobiegły na górę podekscytowane i rozgadane, jakby wreszcie otrząsnęły się z onieśmienia i dały się ponieść fali hałaśliwej radości.

- Kate, nie możemy tu zostać bez pytania. To nadużywanie cudzej uprzejmości.

- Niemądra jesteś. Chodź, pokażę ci moją ulubioną sypialnię. Jest śliczna. Nocowałyśmy tam z Megan, kiedy w lutym zamarzyły mi rury. Było wspaniale. Łóżko jest niewiarygodnie wygodne.

- We wszystkich sypialniach są wspaniałe łóża.

Rzeczywiście, wszędzie były antyczne meble z toczonymi kolumnkami i ozdobnymi jedwabnymi baldachimami. Trzy pomieszczenia na poddaszu, które Kate pokazała jej na końcu, okazały się wyjątkiem. W pierwszym łóżko miało zwyczajną żelazną ramę i balustradki z mosiężnymi gałkami, a całe wyposażenie cechowała prostota, a nie przepych, chociaż i tutaj wyraźnie nie oszczędzono na jakości. W mniejszym pokoiku, przylegającym do sypialni, głównym meblem było staromodne łóżeczko dziecięce, głębokie i bezpieczne.

Najwyraźniej było to pomieszczenie przeznaczone dla niemowlęcia i jego opiekunki. Wprost wymarzone dla Thomasa. Tuż obok znajdował się dwuosobowy pokój, urządzone skromnie i funkcjonalnie. Megan i Kitty, zaśmiewając się, podskakiwały na sprężynowych łóżkach. Edward udawał, że jest za duży na podobne zabawy, jednak zazdrosne spojrzenia, które rzucał w ich kierunku, świadczyły o czymś przeciwnym.

- Moglibyśmy spać tutaj - przyznała Amelia - a dni spędzać w pokoju śniadaniowym. - Stary dębowy stół wytrzyma niejedno, a już z pewnością harce jej dzieci.

- Nie widzieliście jeszcze najlepszego. Tu jest najprawdziwszy plac zabaw - oznajmiła Megan, ciągnąc za sobą swoich małych towarzyszy.

I naprawdę, cały koniec korytarza przebudowano na królestwo dzieci: ustawiono wygodne kanapy, telewizor, a na półkach znajdowały się przeróżne zabawki, gry i książki.

- Jake powiedział, że wiele osób przyjeżdża z dziećmi, więc i one powinny mieć trochę miejsca dla siebie. Jak widzisz, maluchy wcale mu nie przeszkadzają, inaczej by mu to nie przyszło do głowy.

Rzeczywiście, pomyślał o wszystkim. Amelia zauważyła nawet dębową barierkę, którą można w razie potrzeby zamknąć wejście na schody. Jeśli nawet przed laty ta mniej reprezentacyjna część domu była przeznaczona dla służby, teraz znakomicie się nadawała dla niej i dzieci.

- Pomogę ci wnieść bagaże na górę - zaoferowała Kate. - Dzieciaki, niech każdy złapie jedną torbę.

Przy tylu pomocnikach zabrały wszystkie tobołki za jednym razem. Nie było ich zresztą tak wiele. Większość mebli i ruchomego dobytku Amelia przechowywała w magazynie na przedmieściu. Sprowadzi wszystko, gdy wreszcie wynajmie dom. Może tym razem będzie miała więcej szczęścia i właściciel posesji nie wypowie im najmu przy pierwszych problemach z czynszem.

Wreszcie mogła wypuścić Rufusa na dwór, pozwolić psu obwąchać wszystkie krzaczki. Biedaczek. Ostatnie przeprowadzki dały mu się we znaki, ale znosił je dzielnie. Trudno o bardziej oddanego czworonożnego przyjaciela.

David nalegał, by uspić zwierzaka, gdy tylko Rufus zaczął chorować, jednak mu na to nie pozwoliła. Wyklócała się z towarzystwem ubezpieczeniowym o wszystkie ulgi i dodatkowe bonusy, ale nie zrezygnowała z weterynarza.

To ocaliło psu życie. Nie mogła pozwolić, by coś złego spotkało wiernego spanie-la, którego hodowała od szczeniaka. Był iskrą radości w życiu jej dzieci, zwłaszcza w ostatnich trudnych latach, dlatego bez wahania odejmowała sobie od ust, by tylko Rufus miał należytą opiekę.

- Mamusiu, tu jest cudownie. - Kitty wsunęła w jej dłoń swoją zimną łapkę. - Możemy tu zostać na zawsze?

Chciałabym, pomyślała z żalem, ale uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Nie, kochanie. Ale na pewno spędzimy tu święta. Później poszukamy czegoś na stałe.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - odparła z pewnością, której wcale nie czuła.

Dusi się. Przez moment przeszło mu przez głowę, że mimo poduszek powietrznych lawina pogrzebała go głęboko, i dreszcz strachu przebiegł mu po plecach, ale zaraz uświadomił sobie, że leży twarzą w śniegu i właśnie dlatego brakuje mu powietrza.

Ma przysypane nogi, jednak musi być na wierzchu, bo nie czuje na plecach ciężaru ubitego śniegu. Poruszył ręką i podniósł głowę, wtedy przeszył go ostry ból. Do diabła. Spróbował jeszcze raz, tym razem ostrożniej. Z gogli posypały się lodowe igiełki, zapie-

kła go twarz wystawiona na mroźny powiew. Odetchnął z ulgą, otworzył oczy i zobaczył przymglone światło. Dzień zbliżał się ku zachodowi, wkrótce dolinę ogarnie mrok.

Udało mu się oswobodzić ręce, potrząsnął głową energiczniej, by oczyścić gogle, ale zaraz pożałował. Nowy paroksyzm bólu unieruchomił go na chwilę, a potem zebrał siły i zaczął wrzeszczeć na cały głos.

Miał wrażenie, że od wielu godzin wzywa pomocy, gdy wreszcie usłyszał nadchodzących ratowników.

- Tutaj! Pomocy! - ryknął, machając rękami mimo potwornego bólu.

Okrażyli go rośli mężczyźni, sprawnie odkopali zdrętwiałe nogi spod zwałów śniegu. Przy ich pomocy udało mu się stanąć. Bolało go wszystko, w szczególności lewa ręka i lewe kolano. Skutki zderzenia z drzewem albo gałzami, na które rzuciła go lawina. Jutro będzie cały posiniaczony.

- Da pan radę zjechać na dół? - upewniali się, bo jego narty były całe.

O dziwo, wiązania nie puściły nawet w tym diabelskim młynie. Ostrożnie sprawdzał, czy nogi go nie zawiodą, ale nawet poobijana lewa utrzymywała jego ciężar. Zjechał na dół pomalutku, przyciskając do piersi bolącą lewą rękę. Ekipa ratunkowa zawiozła go do wioski, a stąd został odesłany prosto do szpitala.

Lekarze kiwali nad nim głowami, prześwietlali go na wszystkie strony, aż po serii badań założyli mu gips i dali solidny zastrzyk znieczulający, po którym zapadł w sen bez marzeń i majaków.

ROZDZIAŁ DRUGI

Amelia zaprotestowała, gdy Kate chciała podkreślić centralne ogrzewanie.

- Poradzimy sobie. Wcale nie jest zimno.

- Chyba żartujesz. Centralne jest ustawione na minimalny poziom, ma chronić rury przez zamarznięciem.

- Jesteśmy przyzwyczajeni. Mamy grube swetry.

- Przynajmniej napal w kominku - westchnęła Kate. - Na zewnątrz, przy kuchennym wyjściu, jest cała sterta porąbanego drewna.

- Nie możemy palić jego drewnem! To kosztuje!

- Nie wtedy, kiedy masz kilka hektarów lasu. Zapewniam cię, Jake sam nie wie, co ma robić z tymi pociętymi na pniaki kłodami, które mu stamtąd dostarczają. Wszyscy na tym korzystamy. Codziennie wrzucam kilka grubych polan do bagażnika i mam opał do kominka na całą noc. Dzieci nie powinny marznąć, Millie. Rozpal ogień i nagrzej w domu.

Roznieciła więc ogień, podłożyła parę kłoców, zabezpieczyła palenisko ciężkim ekranem, po czym zostawiła dzieci z Rufusem przed telewizorem, a sama zajęła się przyrządzaniem kolacji. Nawet Thomas był grzeczny, zjadł swoją butlę bez plucia na lewo i prawo i wieczornych wrzasków.

Amelia poczuła, że wreszcie może się zrelaksować.

Za oknem pogwizdywał i pojękiwał wiatr, stary dom otaczał ich swoimi murami i skrzypiał przyjaźnie, jakby obiecywał bezpieczne schronienie.

Co za romantyczne urojenia.

A jednak czuła się tak, jakby to była prawda.

Rano zerwała się, zanim jeszcze dzieci zdążyły się obudzić. Zbiegła na dół na paluszkach i zastała Rufusa zwiniętego w kłębuszek na dywanie przed kominkiem. Na jej widok podniósł głowę i zaczął serdecznie machać ogonem. Przytuliła do siebie kudłaty łebek. Łzy napłynęły jej do oczu, bo nagle opuściło ją napięcie i po raz pierwszy od wielu miesięcy z optymizmem spojrzała w przyszłość.

Podłożyła drewna do kominka, zdumiona, że zostało w nim tyle żaru, i po wypuszczeniu Rufusa do ogrodu zrobiła sobie filiżankę gorącej herbaty. Czowała się wspaniale, pijąc aromatyczny płyn przed trzaskającym wesoło ogniem. Trzeba ułożyć plan działania.

Najpierw należy obdzwonić agencje pośrednictwa. Bez pracy nie ma szansy na wynajęcie domu. Trzeba też zrobić zakupy na świąteczny obiad. Pieczony kurczak i kilka kiełbasek będą tańsze niż indyk. Przy oszczędnym gospodarowaniu pieniądze wystarczą jej na dłużej.

Pomyślała o wystawnych świątach sprzed kilku lat, jeszcze z Davidem. Nadmiar jedzenia, luksusowe prezenty. Czy dzieciom tego brakuje? Może to kolejny zawód w ich krótkim, pełnym rozczarowań życiu. Z miłości do niej nie dają po sobie poznać, że sprawia im to przykrość.

Utrata własnego domu to dużo gorszy problem, myślała, myjąc filiżankę. Wieczne przeprowadzki odbierają dzieciom poczucie bezpieczeństwa, zakłócają beztroskę należną im z racji wieku. Nienawidzi tego poczucia, że je zawiodła. Ma koło ratunkowe w postaci czeku od Laury. Za te pieniądze powinna znaleźć przyzwoite lokum. Kiedyś zwróci siostrze pożyczkę, duma jej nie pozwoli przyjąć takiego podarunku.

Połowę poranka spędziła, obdzwanając agencje i czytając ogłoszenia, jednak w przeddzień wigilii nikt nie chciał jej wynająć domu ani zaoferować pracy. Wszyscy ją zbywali, prosząc, by zadzwoniła po świątach. Najwyraźniej nie było w tej chwili zapotrzebowania na tłumaczenia. Widząc bezskuteczność swoich wysiłków, wzięła dzieci na spacer. Thomas siedział grzecznie w wózku, Rufus buszował po kątach ogrodu, a Kitty i Edward biegali w kółko i piszczeli z radości.

W pobliżu nie było żywego ducha, nikt ich nie uciszał, nie marszczył karcąco brwi. Ona także mogła cieszyć się pogodnym dniem.

- Mamusiu, będziemy mieli choinkę? - spytał Edward z nadzieją w głosie.

Kolejne wydatki - nie tylko drzewko, ale świecidełka. Nie tknie pieniędzy Laury, są przeznaczone na dom.

- Nie wiem, czy gospodarz byłby zadowolony. Wiecie, jaki się robi bałagan, kiedy zaczną się osypywać igiełki? - powiedziała, przerzucając winę na nieznanego Jake'a.

Miała dosyć szukania wykrętów i odmawiania dzieciom tego, co mieli ich rówieśnicy, podczas gdy prawdziwym winowajcą był ten niepoprawny lekkoduch, ich ojciec, który zwał na drugi koniec świata i przestał płacić alimenty.

- Na pewno by pozwolił! Na pewno! Wszyscy lubią choinki - przekonywała ją entuzjastycznie Kitty.

- Nie mamy bombek i łańcuchów. A zresztą nie wiem, gdzie o tej porze kupić drzewko - wykręcała się niezręcznie.

- Możemy sami wszystko zrobić! - zaproponował Edward po chwili zastanowienia. Oczy mu lśniły radością, był dumny, że znalazł rozwiązanie ich problemu. - Można odłamać kilka jodłowych gałęzi, w lesie jest ich tyle. Jak je ze sobą zwiążemy, będą wyglądały jak prawdziwe drzewko. Przymocujemy do nich szyszki. Widziałem też małe czerwone jagody. Na pewno Jake nie nakrzyczy na nas, jak trochę zerwiemy.

- A jeśli się rozgniewa?

- Mamusiu, na pewno nie! Przecież pozwolił nam mieszkać w swoim domu - perswadowała Kitty, a Millie znowu poczuła się niezręcznie.

Jednak dzieci miały rację. Wszyscy mają choinki, a ich gospodarz nie będzie miał pretensji o parę gałęzi, trochę szyszek i kilka ozdobnych gałązek ostrokrzewu.

- W porządku - uległa wreszcie. - Zrobimy sobie choinkę.

Po lunchu wyszli jeszcze raz, zostawiając Rufusa drzemiącego przed kominkiem. Kitty pchała wózek z Thomasem, a Amelia i Edward nieśli naręcza gałęzi.

- Teraz możemy się zabrać do roboty - oznajmił chłopczyk triumfalnie.

Jedynie myśl o domu pozwoliła mu przetrwać tę piekielną drogę. Już wkrótce wyciągnie się na swojej ulubionej skórzanej kanapie, z butelką najlepszej szkockiej whisky i środkami przeciwbólowymi.

Nie wgramoli się po schodach do sypialni, nie ma mowy. Kolano bardzo mu dokuczało, zagryzał zęby z bólu.

Może nie aż tak, jak wówczas, gdy zerwał więzadło, ale wystarczająco, by przerwać pobyt w górach. Nie wspominając już o gipsie na rękę.

Myślał tylko o tej chwili, gdy w końcu się położy. Nie powinien był ruszać w drogę tak szybko, całe ciało miał fioletowe od siniaków, jednak atmosfera radosnych przedświątecznych przygotowań w małej turystycznej miejscowości działała mu na nerwy. Skoro nie może jeździć na nartach i w ten sposób uciekać przed ścigającymi go demonami, najlepiej będzie wrócić do domu.

Nie ma takiego miejsca, w którym można się schronić przed upiorami z przeszłości, przed własną pamięcią. Co roku próbował ucieczki, ale tym razem skutki mogły być fatalne. Może to znak, że czas wracać, zająć się własnym życiem. W domu nie będzie miał problemów ze znalezieniem sobie zajęcia.

Żwir rozpryskiwał się pod kołami samochodu - to znak, że taksówka wjechała na podjazd. Nareszcie w domu. Wręczył kierowcy należność z przesadnie hojnym napiwkiem, z trudem wygramolił się z auta i pokuśtykał do drzwi wejściowych.

Tu stanął jak wryty.

Na podjeździe stał nieznany mu samochód. W domu paliły się światła. Nie tylko na parterze. Również na poddaszu i na schodach.

- Gdzie zanieść walizki, psze pana? - spytał usłużnie taksówkarz.

- Tutaj wystarczy - odparł, wpuszczając go do holu.

Znajomy zapach, dym z kominka. Światło paliło się w pokoju śniadaniowym. Dochodził stamtąd niecodzienny odgłos: śmiech dziecka.

Niemożliwe. Nagły ból ścisnął mu serce. Boże kochany, nie dzisiaj. Nie w tym jedynym dniu w roku, kiedy miał ochotę schować się w mysiej dziurze i przestać myśleć.

- Wesołych świąt panu życzę - powiedział za jego plecami taksówkarz.

- Ja panu również - odparł machinalnie.

Zamknął za nim drzwi i usiłował zgadnąć, co za niespodzianka kryje się w pokoju śniadaniowym. To sprawka Kate - nikt inny nie ma kluczy, a bez nich nie da się sforsować zamków. W domu są takie systemy bezpieczeństwa, jakich by się nie powstydział Fort Knox. Może przyjechała z Megan i kimś z przyjaciół, by się upewnić, że wszystko jest w porządku. Ale odgłosy dochodzące z jadalni świadczyły raczej, że nieźle się bawią.

Boże, proszę, tylko nie dzisiaj.

Kulejąc, podszedł do drzwi, uchylił je ostrożnie i zatrzymał się w progu.

W środku panował całkowity chaos.

Dwoje dzieci siedziało na podłodze przy ogniu i pracowicie przywiązywało gałązki ostrokrzewu do sfatygowanych zielonych gałęzi, które pochodziły zapewne z choinek rosnących na zapleczu zabudowań klubu ziemskiego. Jednak to nie dzieci przykuły jego uwagę, a kobieta, stojąca na stole.

Wysoka, szczupła, z niesfornymi włosami wymykającymi się z końskiego ogona, w sfatygowanych dzinsach pamiętających lepsze czasy. Wspinała się na palce i oplatała zielonymi iglastymi gałązkami ciężką żelazną obręcz zwisającą nad stołem. Najwyraźniej rozwieszała girlandy, usiłując zrobić jakąś namiastkę świątecznej dekoracji.

Nigdy w życiu jej nie widział, inaczej na pewno by ją zapamiętał.

Kim do diabła jest?

Zacisnął gniewnie usta. W tym samym momencie schyliła się, wypinając zgrabną pupę. Poczł niespodziewane i całkowicie nieproszone pożądanie.

- Jaka szkoda, że Jake nie może zobaczyć naszych ślicznych dekoracji - westchnęła mała dziewczynka.

- A właściwie dlaczego wyjeżdża? - spytał chłopiec.

- Nie wiem - odparła kobieta melodyjnym głosem. - Trudno mi zgadnąć.

- Kate nie wie?

Kate za tym stoi, tak jak podejrzewał. Już on jej pokaże nieproszonych gości. Chętnie by jej kark skreślił, ale jedną ręką się nie da.

Pomyśli o tym później, gdy mu zdejmą gips.

- Najwyraźniej lubi jeździć na nartach.

- Ja nie lubię - wyznał chłopczyk. - Uczyłem się w przedszkolu, ale nauczycielka była jakaś dziwna. Niezbyt dobrze pachniała. Proszę, już skończyłem.

Poderwał się, odwrócił i zamarł na widok Jake'a.

- Podaj mi, proszę. - Kobieta zamachała ręką, usiłując wymacać kolejną girlandę.

- Mamusi...

- Kochanie, podaj mi gałązkę. Nie mogę tu tak tkwić bez końca...

Odwróciła się do synka, dostrzegła nieznanego mężczyznę i otworzyła szeroko usta.

- Ojej!

- Mamusiu, dać więcej jagódek czy wystarczy? - spytała dziewczynka, nieświadoma sytuacji.

Jake ledwie ją słyszał, bo nagle dotarło do niego, że kobieta nie jest po prostu zaskoczona, a zszokowana i przerażona.

- Cicho, Kitty. - Zeskoczyła ze stołu i podeszła do niego z wymuszonym grymasem, który miał udawać uśmiech. - Pan Jake Forrester? - spytała drżącym głosem.

Naburmuszył się, nie chcąc ulec niemej prośbie w jej oczach.

- Ma pani przewagę nade mną, bo ja nie mam pojęcia, kim jesteście, co robicie w moim domu i dlaczego przywlekliście ze sobą ten śmietnik?

Zamrugła oczami i zaczerwieniła się gwałtownie.

- Mogę wszystko wyjaśnić.

- Proszę nawet nie zaczynać. Nie obchodzi mnie to. Proszę sprzątnąć ten bałagan i opuścić mój dom.

Odwrócił się na pięcie - niezbyt dobry pomysł, bo natychmiast odezwało się kolano - a gwałtowny ból jeszcze podsycił złość.

Trzasnął drzwiami do gabinetu i zadzwonił do Kate.

- Millie? - spytała, gdy podniosła słuchawkę.

- A więc tak ma na imię.

- Jake? - wrzasnęła Kate. Mógł sobie wyobrazić minę bezbrzeżnego zdziwienia na jej twarzy. - Co robisz w domu?

- Zderzyłem się z lawiną. Nie o tym chciałem mówić. Zdaje się, że mam gości. Możesz mi to wytłumaczyć?

- Przepraszam. Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

- Fantastycznie. Czekam. Masz dziesięć sekund, więc lepiej się pośpiesz. - Opadł na fotel, krzywiąc się z bólu.

- To moja przyjaciółka. Jej były mąż wyjechał do Tajlandii, nie płaci alimentów, a ona właśnie straciła pracę i mieszkanie, a na dodatek rodzona siostra wyrzuciła ją wczoraj z domu.

- Ma niefart. Właśnie się pakuje, więc radzę ci znaleźć innego naiwniaka, który ją przygarnie, żebym mógł w spokoju lizać swoje rany. I nie myśl, że ci to ujdzie płazem.

Rozłączył się, odłożył słuchawkę, a wtedy zobaczył tę kobietę stojącą w drzwiach. Wszystko słyszała.

- Proszę nie odgrywać się na Kate. Starła się nam pomóc.

Był zbyt obolały i wściekły, by pohamować sarkazm.

- Zdaje się, że pech panią prześladowe, co? Wszystko pani traci - męża, pracę, dom. Nawet rodzona siostra pani nie chce. Ciekawe, czemu? Co w pani jest takiego, że wszyscy próbują się pani pozbyć?

Cofnęła się gwałtownie, jakby ją uderzył w twarz. Poczł nagły palący wstyd, ale to go nie otrzeźwiło.

- Za pół godziny nas tu nie będzie. Potrzebuję trochę czasu na spakowanie się. Co mam zrobić z pościelą?

Pościele? Wyrzuca ją na bruk, a ona się martwi o prześcieradła?

- Proszę wszystko zostawić, jak jest. Nie chciałbym pani zatrzymywać - wycedził.

Wyprostowała się jak struna, zrobiła krok do tyłu, a wtedy dostrzegł, że dygocą jej kolana.

- W porządku. To wszystko. - Odeszła sztywno do przykuchennej jadalni.

Został sam, ale wcale nie poczuł się lepiej. Sumienie coraz głośniejszym przypominało o sobie. Nowa fala bólu ogłuszyła go na chwilę, oślepiła i unieruchomiła w fotelu. Potarł ręką czoło, otworzył oczy. Wtedy zobaczył chłopczyka.

- Bardzo przepraszam - zaczął, podnosząc zadziornie głowę, chociaż bródka mu się trzęsła. - Niech pan się nie gniewa na mamusię. Ona tylko chciała, żebyśmy mieli miłe święta. Mieliśmy je spędzić z ciocią Laurą, ale wujek Andy nas nie chciał, bo dziecko płacze po nocach...

Oprócz tamtej dwójki jest jakieś młodsze dziecko? Czy może być jeszcze gorzej? Okazało się, że to nie koniec.

- ...a nasz pies trochę śmierdzi, więc kiedy się położył na kanapie, wujek się wściekł. Słyszałem, jak się kłócili. Mamusia powiedziała, że odwiedzimy Kate, a ona nas przywiozła tutaj, bo uważała, że pan jest bardzo miły i nie będzie się pan gniewał, a zresztą nie narobimy żadnych szkód, bo ten dom ma kilkaset lat i nie takie rzeczy przetrwał, a poza tym musi pan lubić dzieci, inaczej nie zrobiłby pan na górze sali zabaw.

Wreszcie zabrakło mu tchu i przerwał, a Jake wpatrywał się w niego oszołomiony.

Kate uważa go za miłego człowieka? Chyba jej się coś przywidziało.

Jednak wielkie oczy chłopca w bladej chudej buzi poruszyły Jake'a bardziej, niż chciałby się do tego przyznać. Nawet jeśli nie jest wzorem wszelkich cnót, za jaki bierze go Kate, nie wyrzuci kobiety z małymi dziećmi na mróz tuż przed świętami. Do tego trzeba by prawdziwego sukinsyna.

Żaden też z niego cudownie nawrócony Ebenezer Scrooge, któremu objawiły się duchy Bożego Narodzenia. Dom pełen dzieci w czasie świąt to ostatnie, czego by sobie życzył. Na myśl o tym wpadał w panikę. W dodatku płaczące niemowlę? I pies?

Nie zaszczekał ani razu. Co z niego za stróż. Czy jest taki stary i kompletnie głuchy?

Nie, wręcz przeciwnie, uświadomił sobie, gdy w półmroku korytarza dostrzegł biało-złoty kłębek sierści, ogonek powiewający jak chorągiewka i wpatrzone w niego z nadzieją ciemne ślepki.

Miniaturowy spaniel angielski, takiego samego miała jego babcia. Był jego ulubieńcem, ale przecież teraz nie ulegnie starym sentymentom.

Chłopczyk nie odchodził. Przeształ z nogi na nogę, ale nie zamierzał się wycofać. Jake nie wiedział, jak ma wybrnąć z sytuacji.

- Jak ci na imię?

- Edward. Edward Jones.

Ładne uczciwe imię. Pasuje do tego dziecka, pomyślał. Czuł, jak wyparowują początkowe opory. Nie jest winą małego chłopca, że dorosły facet nie umie się uporać z bolesnymi wspomnieniami...

- Gdzie jest twoja mama, Edwardzie?

- Pakuje się. Miałem posprzątać gałęzie, ale nie mogę dosięgnąć do tych, które wi-
szą wysoko.

- Poproś mamę, żeby do mnie zeszła, a potem zajmij się młodszym rodzeństwem, a
my się tu spokojnie nad wszystkim zastanowimy.

Chłopczyk pokiwał głową, ale nadal stał, przygryzając dolną wargę.

- O co jeszcze chodzi? - westchnął Jake.

- Nie będzie pan dla niej niedobry? Mama stara się nami opiekować, ale teraz jest
jej trudno, bo tatuś nie przysyła żadnych pieniędzy, więc na nic nie wystarcza. To nie jest
wina mamusi.

- Pójdź po nią, Edwardzie. Będę miły, obiecuję.

Chłopiec zniknął, ale spaniel został, zaskomlał cichutko i energicznie pomachał
ogonkiem. Podeszedł ostrożnie do wyciągniętej ręki Jake'a, obwąchał ją i usiadł dwa kroki
od fotela, nie do końca pewny, czy może zaufać temu obcemu człowiekowi.

Mądry piesek, pomyślał Jake. Jego zły nastrój nie jest winą tego puchatego kłę-
buszka, podobnie w niczym mu nie zawiniła obca kobieta, którą zastał w domu. Obietni-
ca dana chłopcu zobowiązuje.

Potraktował ją obrzydliwie, powiedział wiele niepotrzebnych i niesprawiedliwych
słów. Jest jej winien przeprosiny. Wygląda na to, że musi zrewidować plany lizania ran
w samotności.

Niech to jasny szlag!

- Mamusiu, on chce z tobą rozmawiać.

Amelia podniosła głowę znad torby, w której upychała dziecięce ubranka.

- Wydaje mi się, że powiedział wszystko, co było do powiedzenia - stwierdziła su-
cho. - Posprzątałeś na dole?

- Nie sięgam do żyrandola, ale resztę wyniosłem na dwór i pozbierałem śmieci z
podłogi. Prawie wszystkie. Mamusiu, on naprawdę chce z tobą rozmawiać. Poprosił, że-
bym się zajął młodszym rodzeństwem.

Chyba to cytat, pomyślała ponuro. Nie spieszyło się jej do kolejnej porcji obelg i
upokorzenia. Przemyślał wszystko, nabrał sił i jest gotowy do kolejnej rundy.

- Proszę, mamusiu. Obiecał, że będzie miły.

Co u licha powiedział mu Edward? Policzyła w myślach do dziesięciu, potem wyciągnęła ramiona i przytuliła swojego małego rycerza.

- Będzie dobrze, mamusiu - obiecał jej.

Gdyby miała w sobie tyle optymizmu...

Powoli zeszła w dół pięknymi dębowymi schodami, które zdążyły ją oczarować, pokonała korytarz wyłożony grubym dywanem i zapukała do gabinetu, z każdą sekundą coraz bardziej zdenerwowana.

Jake siedział odwrócony plecami. Na odgłos pukania odwrócił się i przekreślił fotel, by ją lepiej widzieć. Zdjął z ramion kurtkę i teraz zauważyła wielkiego siniaka pod lewym okiem i gips na lewym przedramieniu.

Miał ciemne włosy, krótko przycięte na skroniach, z czupryną spadającą na oczy, teraz zmierzwione, jakby je desperacko przeczesywał palcami. Cień zarostu na policzkach świadczył, że odbył długą podróż i nie miał czasu się ogolić. Wygląda fatalnie, pomyślała. Ciekawe, czemu.

- Chciał mnie pan widzieć?

- Należą się pani przeprosiny - oznajmił szorstko, ku jej zaskoczeniu. - Zachowałem się wobec pani jak ostatni cham i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

- Jestem tu nieproszonym gościem - zauważyła. - Sama byłabym nieuprzejma na pańskim miejscu.

- Trudno mi sobie to wyobrazić. Najlepszym dowodem są nienaganne maniery pani syna. Wystawia pani najlepsze świadectwo.

- Dziękuję. To wspaniały dzieciak. Jak na swój wiek, wiele już przeżył.

- Z pewnością. Jednak to nie o nim chcę rozmawiać, a o pani. Jeśli dobrze rozumiem, nie macie dokąd pójść?

- Poradzimy sobie. - Zadarła dumnie brodę.

Na pewno nie pokaże po sobie, jak bardzo jest zdesperowana. Czy jej się wydało, czy w jego oczach pojawił się wyraz rozbawienia?

- Ma pani odpowiednie miejsce, żeby spędzić z dziećmi święta Bożego Narodzenia? Tak czy nie? - Powiedział to łagodnym tonem, ale można się było domyślić, że w firmie rządzi ludźmi żelazną ręką.

- Nie - przyznała. - Ale to nie pański problem.

Kiwnął głową, ale nie przestał jej indagować.

- Mam kłopot i wydaje mi się, że mogłaby pani go rozwiązać. Dosyć nierozsądnie dałem się porwać lawinie. Mam złamany nadgarstek. Nie umiem sobie nic ugotować nawet wtedy, gdy jestem w znakomitej formie, a nie zamierzam odwoływać gosposi z jej dobrze zasłużonego urlopu. Pani nie ma w tej chwili innych propozycji, więc chciałbym pani złożyć ofertę pracy.

- Pracy? - Po raz pierwszy od dłuższego czasu dostrzegła światełko nadziei. Nie była pewna, czy jej się to spodoba, ale właściwie nie miała w czym przebierać.

- Nie mam zamiaru płacić za pomoc. Biorąc pod uwagę, że wprowadziła się pani tutaj bez mojej wiedzy i zgody, uważam, że tak będzie fair. Pozwolę wam tutaj zostać, aż znajdzie pani coś odpowiedniego dla swojej rodziny, pod pewnymi warunkami. Potrafi pani gotować?

Nagle przestała się bać. Nie będzie tak źle. Zawsze lubiła kucharzenie, było jej mocną stroną, choć niewiele miała do niego okazji w ostatnich miesiącach.

- Potrafię - zapewniła.

- Świetnie. Poprowadzi pani dom i zajmie się wszystkimi gospodarskimi obowiązkami. Prowadzi pani samochód?

- Tak, ale musimy korzystać z mojego, chyba że ma pan duże auto, które pomieści wszystkie dzieci. Zabieram je wszędzie, a to wyklucza modne sportowe modele.

- Mam audi A6 estate. Z automatyczną skrzynią biegów. Czy to problem?

- Żaden. Mój były mąż David jeździł takim. - Bank przejął samochód, jak większość ich wspólnego majątku. - Co jeszcze? Jakież reguły, o których powinnam pamiętać?

- Tak. Dzieci będą spędzały czas na górze. Możecie zostać w sypialniach na poddaszu, bo wybrała pani te trzy z patchworkowymi narzutami, prawda?

- Skąd pan wie?

- Powiedzmy, że zazwyczaj jestem niezłym znawcą ludzkich charakterów, a pani nie potrafi się maskować. - Uśmiechnął się półgębkiem. - Gdy będzie pani zajęta w

kuchni, proszę zabierać dzieci do jadalni śniadaniowej, która jest zaraz obok. Łatwo będzie mieć na nie oko.

- Jak pan widzi, jest jeszcze pies - bąknęła.

Ku jej zdumieniu twarz Jake'a złagodniała. Uśmiechnął się szczerze.

- Moja babcia miała identycznego. Cavalier king Charles spaniel. Jak się wabi?

- Rufus. - Na dźwięk swojego imienia pies entuzjastycznie zamierdał ogonkiem. -

Proszę nie mówić, że powinien siedzieć w budzie na dworze, bo jest już stary, niezbyt zdrowy, jest strasznie zimno, a on jest bardzo grzeczny...

- Millie, co to za zdrobnienie?

- Od Amelii.

Przez chwilę taksował ją wzrokiem, po czym powtórzył niemal pieszczotliwie:

- Amelia... Oczywiście, że pies może być w domu. Zakładam, że jest dobrze ułożony.

- Oczywiście. Czasem zdarzają mu się niefortunne przypadki, ale tylko wtedy, gdy jest chory.

- Proszę mu nie pozwalać wskakiwać na łóżka. To wszystko. Teraz będę wdzięczny za szklanekę, whisky i moją torbę podróżną. Położę się na kanapie w salonie i będę spać.

Podniósł się z wysiłkiem. Widać było, że każdy krok sprawia mu ból.

- Bardzo się pan poobijał?

- Tak, Amelio. Gdyby zechciała mi pani podać torbę, tobym wziął środki przeciwbólowe.

Wyśliznęła się do kuchni, nalała szklanekę wody, wstawiła czajnik, zrobiła kanapkę z serem i wróciła do Jake'a.

- Pomyślałam, że jest pan głodny. W tej chwili niewiele jest do jedzenia, ale nie powinien pan połykać pigułek na pusty żołądek.

Westchnął i spojrzał na nią z kanapy, na której się wyciągnął. Mimo gipsu, siniaków i zadrapań nie sprawiał wrażenia bezradnego.

- A moja whisky? Prawdziwa szkocka słodowa?

- Nie wolno łączyć alkoholu...

- Z lekarstwami. Wiem, wiem - burknął. Jeśli miał zamiar ją wystraszyć, to spu-
dłował. - Proszę o moje środki przeciwbólowe. Są w zewnętrznej kieszeni torby. Popiję
wodą.

Bez trudu znalazła lekarstwa i podała je Jake'owi.

- Kiedy wziął pan ostatnią dawkę? Na opakowaniu napisano: nie więcej niż sześć
w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Czy prosiłem panią o poradę medyczną? - warknął i połknął dwie kapsułki, nie-
zręcznie posługując się jedną ręką.

Zdecydowanie nie jest bezbronny i wrażliwy, ale ona umie sobie radzić z takimi
zrządami.

- Pańska rodzina oskarżyłaby mnie o kryminalne zaniedbanie, gdyby pan
przedawkował.

- Bez obaw - odrzekł bezbarwnym głosem. - Nie mam rodziny. Proszę mnie zоста-
wić w spokoju. Nie mam siły kłócić się z taką upartą i pyską kobietą jak pani. Nie zno-
szę, kiedy ktoś się nade mną trzęsie. Proszę mi przynieść whisky!

- Wstawiłam wodę na herbatę albo kawę.

- Nie trzeba. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przyjąłem taką dawkę
kofeiny, jaka powinna wystarczyć mi na całe życie. Potrzebuję szkockiej.

- Najpierw pan zje kanapkę. Potem o tym pomyślimy. - Wyszła szybko, zamykając
za sobą drzwi, zanim zdążył zmienić zdanie i wyrzucić z domu całe towarzystwo.

ROZDZIAŁ TRZECI

Edward siedział na podeście schodów i patrzył na nią z niepokojem.

- I co?

- Zostajemy. - Uśmiechnęła się. Wciąż trudno jej było uwierzyć, ale zamierzała trzymać się tej szansy pazurami. - Powinniśmy się trzymać pokojów na poddaszu, chyba że będę w kuchni przygotowywać posiłki, wtedy będziecie schodzili do śniadaniowego. Nie wolno mu przeszkadzać. Miał wypadek na nartach i nie czuje się dobrze. Potrzebuje dużo snu.

- Mogę rozpakować swoje rzeczy? - upewniła się Kitty, która dołączyła do nich na schodach, dźwigając wypchaną torbę.

- Tak, kochanie. Wypakujemy wszystko, a potem zejdziemy na paluszkach do kuchni i poszukamy czegoś do jedzenia.

Powinna przygotować kolację dla Jake'a, ale trudno to zrobić bez produktów spożywczych i pieniędzy na zakupy. Może coś znajdzie w zamrażarce?

- Będę cichutko jak myszka - obiecała dziewczynka i na paluszkach wróciła do swojego pokoju.

Prawie się udało. W drzwiach zaczepiła o framugę, torba wypadła jej z rąk, książka upadła na podłogę z łomotem. Oczy Kitty zrobiły się wielkie jak spodeczki i przez chwilę wydawało się, że wybuchnie płaczem.

- Nie martw się, kiciu. Nie musisz być aż tak cicho - pocieszyła ją matka, a Edward, zawsze rycerski, objął siostrę, po czym pomógł jej poukładać rzeczy, gdy Millie zajęła się ciuszkami Thomasa.

Mały spał jak aniołek. Błogosławiona dziecięca niewinność rozczuliła Amelię do łez, ale nie było czasu na rozklejanie się. Odwróciła się i podeszła do okna, zaniepokojona odgłosem silnika samochodowego. Na widok auta na podjeździe zorientowała się, że Kate przyjechała jej na odsiecz.

Kochana Kate, niezawodna przyjaciółka. Teraz też nie chciała jej zostawiać samej. Wpadnie tu gotowa do potężnej kłótni z szefem, który śpi na dole.

- Uważajcie na Thomasa. Wpuszczę Kate - powiedziała do dzieci i zbiegła po schodach.

Wpadła do holu akurat w momencie, gdy Kate otworzyła drzwi.

- Millie, przepraszam, że przyjazd zajął mi tyle czasu, ale Megan się kąpała i musiałam wysuszyć jej włosy, zanim mogłam ją wypuścić na to zimno. Gdzie są dzieci?

- Na górze. Wszystko dobrze się skończyło. Zostajemy. Megan, pójdz do Edwarda i Kitty, a ja poczęstuję mamę filiżanką kawy.

- Nie mam czasu na kawę, muszę się zobaczyć z Jake'em, wyjaśnić mu i przekonać... Jak to, zostajecie?

- Cicho. Jake śpi. Przysięgam, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- Będę cichutko - obiecała Megan i bezszelestnie pomknęła na górę.

Kate wzięła przyjaciółkę pod ramię i zaciągnęła ją do pokoju śniadaniowego.

- Opowiadaj, co się dzieje. Byłam pewna, że będziesz spakowana i gotowa do opuszczenia tego domu.

- Jake złamał rękę w przegubie, jest strasznie poobijany, najpewniej uszkodził sobie kolano. Potrzebuje kogoś, kto mu poprowadzi dom do powrotu jego gosposi.

- Zatrudnił cię? - zdumiała się Kate.

- Niezupełnie. - Amelia uśmiechnęła się krzywo. - Ale możemy tu mieszkać. Muszę tylko trzymać przy sobie dzieci.

- A pies? Czy w ogóle wie, że masz psa?

- To inna historia. Okazuje się, że go bardzo lubi, prawda, Rufusie? - Spojrzała w dół na swojego małego pupila przytulonego do jej nogi, wzór oddania i posłuszeństwa.

- Lubi Rufusa? Nie wierzę własnym uszom - mruknęła Kate.

- Powiedział, że jego babcia miała miniaturowego spaniela. Nasz wygląda jak bliźniaczy brat tamtego. Jedynym problemem okazały się dekoracje świąteczne. Z jakiegoś powodu nasz gospodarz nie jest ich fanem. - Wskazała wzrokiem nieszczęsne girlandy pod sufitem. - Zaparzymy kawę i pójdziemy na górę do dzieci.

- Jake miał zamiar urządzić na górze podręczną kuchenkę, nic wielkiego, czajnik elektryczny, dwa palniki. Szkoda, że nie zdążył. Nie musiałybyś biegać w tę i z powrotem.

- To żaden problem. I tak muszę gotować, wtedy zabiorę dzieci ze sobą. W ciągu dnia spędzają większość czasu w sali zabaw. To wielka wygoda. Nareszcie mam trochę czasu na spokojne szukanie bardziej permanentnych rozwiązań.

- A jaka to ulga dla mnie. Nie wiedziałabym, co robić.

Przecież nie zostawię Jake'a bez pomocy, samego i połamanego, ale na obiad świąteczny zejdzie się do mnie cała rodzina, sama wiesz, jak jest ciasno, zapanuje kompletny chaos, więc nie dałabym rady opiekować się chorym. Twoja obecność tutaj jest opatrnościowa. Poza tym może się dogadacie. A może nawet...

- Stop! - zaśmiała się Amelia, przypominając sobie zjadliwe uwagi Jake'a. - Nawet o tym nie myśl. Nie będziemy wchodzić mu w drogę i to powinno wystarczyć.

Miała właśnie wziąć kubek i skierować się na górę, gdy wrodzone dobre serce przypomniało jej, że niezależnie od gburowatości i oschłości gospodarza, przeżył niebezpieczny wypadek i należy mu się serdeczna opieka.

- Sprawdź, jak się czuje - powiedziała. - Zrobił awanturę, bo nie chciałam mu podać whisky.

- Nie martw się, nie jest pijakiem. Na pewno nie przesadzi.

- Łącząc alkohol ze środkami przeciwbólowymi?

- Jakimi?

- Nie mam pojęcia. Bardzo silne, na receptę. Z pewnością nie jest to paracetamol.

- Ach, do licha. Gdzie on jest?

- Zaraz obok. W salonie.

- Pójdę do niego.

- Nie, ja to zrobię. Był w paskudnym nastroju.

- Myślisz, że nie znam go od tej strony? - prychnęła Kate.

Poszły razem. Uchyliły drzwi, ale wycofały się na widok Jake'a uśpionego na kanapie. Głowę miał przekrzywioną pod dziwnym kątem, rękę z gipsem tulił do piersi, jedna noga oparta była o podłogę.

- Nie jest mu wygodnie - zmartwiła się Kate.

Amelia weszła na paluszkach do salonu, wzięła jedną z miękkich poduszek odrzuconych na bok i delikatnie podłożyła mężczyźnie pod głowę. Poruszył się i coś wy-

mamrotał. Zamarła w miejscu, czekając, aż przesyje ją gniewnym spojrzeniem stalowych oczu, ale nie obudził się, toteż odetchnęła z ulgą.

Spostrzegła, że jest za zimno. Poprzednio odrzuciła propozycję dogrzania domu, ale najwyższa pora to zmienić. Tymczasem trzeba przykryć śpiącego. Zsunęła narzutę z oparcia kanapy i opatuliła nią Jake'a. To na razie ochroni go przed chłodem.

Cichutko wyszła z pokoju, rzucając za siebie ostrożne spojrzenia. Czy jej się tylko wydawało, czy na moment otworzył oczy?

- Mogłabyś coś zrobić, aby dom się nagrzał? - spytała przyjaciółkę.

Kate skinęła głową, poszła do gabinetu i przestawiła programator centralnego ogrzewania.

- Jake wygląda koszmarnie - jęknęła. - Ma strasznie posiniaczoną twarz. Ta lawina nieźle go przeczołgała.

- Nic mi nie powiedział, ale porusza się z trudem. Pewnie nie tylko twarz jest fioletowa. - Amelia odchrząknęła, bo nagle wyobraziła sobie z detalami to silne męskie ciało i zaskoczył ją niespodziewany wybryk własnej wyobraźni. Skąd jej się to wzięło?

Dlaczego pierwszym facetem, który tak podziałał na jej zlodowaciałe libido, jest właśnie Jake? Mowy nie ma, by zwrócił na nią uwagę. Nie dość, że przyłapał ją na tym, jak się szarogęsi w jego domu, to jeszcze pozwoliła sobie na świadome ignorowanie jego poleceń.

Z pewnością nie lubi dzieci. Wygląda na to, że ulitował się nad nimi ze względu na psa.

Może nawet lepiej, że się nią nie zainteresuje, bo jej życie przypomina chodzenie po linie bez asekuracji. Mowy nie ma, by teraz mogła się z kimkolwiek związać. Być może nigdy nie będzie na to gotowa. A jeśli już znajdzie sobie partnera, to z pewnością nie kolejnego biznesmena, skoncentrowanego na budowie imperium. Wystarczy zupełna porażka jej małżeństwa z Davidem.

Rozum swoją drogą, a emocje swoją. Coś w Jake'u Forresterze działało na jej podświadomość, obudziło instynkty od lat uspięne. Musi zacisnąć zęby, zignorować to i wytrzymać parę tygodni. Potem znajdzie pracę, dom i wszystko wróci do normy.

- Chodźmy, niech śpi spokojnie. - Amelia zacisnęła kciuki, modląc się, żeby to była długa i krzepiąca drzemka, po której Jake obudzi się w lepszym nastroju.

Było mu za gorąco.

Zasypiając, myślał, że powinien wziąć koc, ale był zbyt zmęczony, by się podnieść. Teraz miał poduszkę pod głową. Ktoś okrył go narzutą. Miał wrażenie, że czuje w powietrzu znajomy zapach perfum.

Kate. Zapewne po awanturze telefonicznej przyjechała tutaj i to ona się nim zajęła. Nie miał zamiaru wyciągać jej z domu w taką zimną noc. Powinien był zadzwonić jeszcze raz, zaraz po rozmowie z Amelią, ale lekarstwa zapisane przez francuskich lekarzy zupełnie go otumanily.

Przekręcił się na plecy i syknął z bólu. Biodro bolało go nieznacznie, kolano dopominało się o zimny okład, a ręka pulsowała nieprzyjemnie. I to wszystko mimo znieczulenia.

Pomału wstał, odrzucając narzutę. W lodówce jest żelowy okład. Da radę dojść. To tylko kilka kroków.

Łatwiej pomyśleć, niż zrobić. Posuwał się, podpierając o ścianę i przystając co chwila. Kręciło mu się w głowie.

Amelia miała rację, nie powinien brać aż tylu proszków. Ma w głowie budyń zamiast mózgu. Na szczęście nie popił ich whisky. Mieszanka miałaby piorunujące działanie. Ale to była jego decyzja, a ta jędza wcale go nie posłuchała. Kim ona jest, że się tak rządzi?

Amelia. Millie.

Nie, Amelia. Millie do niej nie pasuje. To imię małej dziewczynki, a ona z pewnością jest kobietą. I to bardzo atrakcyjną, o ile zdołał zauważyć.

Kulejąc, wszedł do przykuchennej jadalni. Edward świetnie się spisał. Wyzbiął i wyniósł wszystkie gałązki i jagody z podłogi przed kominkiem. Zmarszczył brwi, walcząc z nagłym poczuciem winy. To jego dom. Ma prawo nie życzyć sobie świątecznych dekoracji.

Ale czy musiał być aż tak opryskliwy?

Nie, zachował się obrzydliwie. Szczególnie wobec dzieci. Miał ochotę sam na siebie nawrzeszczyć. Dotarł wreszcie do kuchni, wyjął z lodówki żelowy opatrunek, owinał go w ręcznik. Wrócił do jadalni, usiadł na fotelu przed kominkiem i przyłożył okład do kolana. Dużo lepiej.

Lepiej dopiero będzie, za kilka dni. Na szczęście to tylko stłuczenie, a nie zerwanie więzadła. Już raz załatwił w ten sposób prawe kolano, nie chciałby powtórki na drugiej nodze. Powinien dziękować niebu, że się nie roztrzaskał na drobne kawałki. Szczęściarz z niego.

Rozparł się wygodniej i tęsknie pomyślał o whisky, jej cudownym dymnym aromacie, intensywnym posmaku i pieczeniu w gardle po każdym łyku.

Niestety, butelka stoi w barku na drugim końcu domu.

Nie da rady odbyć aż tak długiej drogi. Przymknął oczy, pozwalając się ponieść fantazji. Jest na wyspie Islay, siedzi w wiejskiej chałupie przed kominkiem, u jego stóp leży owczarek collie, a nie mały spaniel, a w ręku trzyma szklaneczkę bursztynowego płynu.

Wrażenie było oszałamiające. Szkoda tylko, że nie da się łyknąć tej wyimaginowanej whisky. Może wtedy przestałby myśleć o Amelii i jej dzieciach.

Może nawet zapomniałby o ich istnieniu, gdyby nie odgłos natarczywego płaczu niemowlęcia.

- Thomas, myszeczko, co się dzieje?

Amelia była zmartwiona. Nakarmiła synka jeszcze przed przyjazdem Jake'a, ale teraz obudził się i nie dawał się uspokoić. Wrzeszczał tak głośno, że pewnie go słyszać w całym domu.

Nie powinien być głodny, cóż, kiedy najwyraźniej domaga się, by mu dać jego butlę mleka. Trzeba zejść na dół i podgrzać wodę. Pozostawała decyzja, czy zabrać małego ze sobą, czy zostawić go pod opieką Edwarda.

- Kochanie, popilnujesz go? - spytała, a Edward swoim zwyczajem bez protestów wziął braciszka na ręce.

Zbiegła szybko na dół, wpadła do jadalni i nagle znalazła się oko w oko z gospodarzem, który najwyraźniej drzemał przed kominkiem z okładem z lodu na kolanie i psem przytulonym do nogi. Zatrzymała się jak wryta.

- Dziecku nic nie jest? - spytał mężczyzna.

- Przepraszam. Thomas jest głodny, dlatego płacze. Jedzenie natychmiast go uspokoi. Bardzo przepraszam...

- Czemu go pani nie wzięła ze sobą?

- Bałam się pana obudzić. - Najwyraźniej był w lepszym humorze. Nawet zaspany i nieogolony przyprawiał każdą kobietę o szybsze bicie serca. Był bardzo przystojny. I używał świetnej wody kolońskiej.

- Przyłożyłem lód - wyjaśnił - i zamierzałem napić się herbaty. Przyłączy się pani?

- Nie mogę. Zostawiłam małego z Edwardem.

- Proszę przyprowadzić dzieci. Chętnie je poznam, skoro już mieszkają w moim domu.

Tego tylko brakuje, pomyślała, ale powiedziała głośno:

- Najpierw przygotuję, mleko i odstawię, żeby stygło. Potem zejdę razem z moją gromadką.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, a Amelia pomyślała z ulgą, że jednak przejawia oznaki ludzkich uczuć. W kuchni zalała proszek przegotowaną wodą, potrząsnęła butelką kilka razy i odstawiła do studzenia. Na górze poprawiła jakieś szczegóły w stroju Kitty i Edwarda, nagle idiotycznie świadoma, że nie przebrała ich po rannym spacerze w lesie.

- Wszystko w porządku. Jake chciałby was poznać - uspokajała córeczkę, która z lękiem wczepiła się w jej rękę.

Podkładał do kominka, gdy weszli do pokoju śniadaniowego. Na ich widok wyprostował się i spojrzał surowo, z wyraźnym napięciem.

- Dzieci, to jest pan Forrester...

- Po prostu Jake. - Uśmiech odmienił jego twarz, wydawał się młodszy i dużo bardziej przystępny. - Poznałem już Edwarda. A ty pewnie jesteś Kitty. A ten maluch to zapewne Thomas.

- Tak.

Thomas, jakby wyczuwając zmianę nastroju, ucichł i rozglądał się bacznie, ale wkrótce burczący brzusek dał o sobie znać i malec zaczął popłakiwać.

- Przepraszam, muszę...

- Nakarmić dziecko. Oczywiście. Potrząsnąłem butelką parę razy, aby szybciej stygła.

- Dziękuję.

Ciekawe skąd wie, co należy robić. Może jego rodzeństwo ma dzieci - chociaż powiedział, że nie ma rodziny. Dziwne. Thomas przerwał jej te rozważania. Weszła do kuchni, sprawdziła, czy temperatura mleka jest właściwa, i podała smoczek dziecku. Po chwili słychać było tylko posapywanie niemowlaka.

- Błogosławiony czas, gdy nasze potrzeby są tak nieskomplikowane - powiedział Jake za jej plecami. Mimo uśmiechu, jego oczy były dziwnie smutne. - A więc komu herbaty, komu soku?

- Nie mamy soku. Dzieci napiją się wody.

- Co za nudy.

- Są przyzwyczajone. Woda jest zdrowa.

- Nie wątpię. Jest zdrowa także dla mnie, ale to nie znaczy, że ją piję. Chyba że w trakcie spotkań biznesowych. Herbata tylko dla mnie, czy wypijemy ją razem?

Razem - zabrzmiało niemal poufale, jak spotkanie przyjaciół. To tylko filiżanka herbaty, skarciła się, nic więcej. Nie potrzebuje mężczyzny w swoim życiu.

Jeśli będzie to sobie powtarzała odpowiednio wytrwale, to może w końcu w to uwierzy.

- Dzieci już jadły?

- Thomas tak. Edward i Kitty jeszcze nie. Czekałam, żeby się pan obudził. Na co ma pan ochotę?

- Na cokolwiek. Nie jestem głodny po tej kanapce, którą zjadłem. Co tam mamy?

- Nie mam pojęcia. Chciałam zrobić dzieciom jajko sadzone na grzance.

- Znowu? - zaprotestowała Kitty. - Wczoraj na kolację mieliśmy jajko i grzanki.

- Jestem pewien, że znajdziemy coś jeszcze - powiedział Jake, wyciągając z kredensu jakieś puszki, słoiki i pudełka. - Co jedliście na lunch?

- Chleb z dżemem i jabłko.

Teraz odwrócił się i zmierzył Amelię badawczym spojrzeniem.

- Chleb z dżemem? Jajko na grzance? - mruknął z naganą.

Była gotowa do ostrej riposty, ale wrócił do buszowania w szafkach, a następnie otworzył zamrażarkę i zaczął sprawdzać zawartość jej szuflad.

- Może ryba?

- Zależy jaka. Nie jedzą wędzonej ani paluszków rybnych.

- Jest łosoś. Małże. Homar. Krewetki królewskie. Jakaś tajska potrawka w sosie curry. Może być zwykła zapiekanka, jeśli nie macie ochoty na rybę.

- Nieważne. Proszę coś wybrać. My zjemy jajka.

Zamknął zamrażarkę i znowu zmierzył ją wzrokiem.

Czuła się jak na cenzurowanym. Thomas zaczął przysypiać, wydawał się cięższy w jej ramionach. Wreszcie będzie mogła go położyć i zająć się kolacją. Przecież powiedziała Jake'owi, że potrafi gotować.

- Proszę odpocząć - powiedział niespodziewanie łagodnie. - Zamówimy coś na wynos. Na co macie ochotę, dzieciaki? Pizza? Chińszczyzna? Hamburgery? Kebab?

- Co to kebab?

- Coś niejadalnego - przerwała szybko. - Kitty, już postanowiliśmy, że zjemy jajka.

- Dobrze, w takim razie jajka. Wystarczy dla wszystkich? - zgodził się bez oporu, patrząc na nią z pewną dozą pobłażliwości.

- Pan także? - spłoszyła się

- Zostałem wykluczony?

- Skądże - zaprotestowała, robiąc w myśli spis zawartości lodówki.

- W takim razie omlety, frytki z piekarnika i zielony groszek. Jadłospis mamy od-fajkowany, a teraz usiądź wreszcie, kobieto, zanim ci ręce zemdleją i upuścisz dziecko. Nalewam herbatę.

- To ja miałam się opiekować panem - zaprotestowała, ale wystarczyło jedno spojrzenie stalowych oczu, by się poddała i zasiadła wygodnie w fotelu przy kominku. Uśpi Thomasa, wypije herbatę i zrobi kolację.

Czy Jake zamierza jeść z nimi? Najpierw urządził im dziką awanturę i omal nie wyrzucił ich z domu, a teraz się zaprzyjaźnia? Co spowodowało tę radykalną zmianę?

Jake wyciągnął kubki i zawahał się na moment przy wyborze herbaty. Zrezygnował z zaparzania jej w czajniczku, z jedną ręką w gipsie bezpieczniej będzie poprzestać na torebkach. Na szczęście złamał lewą, prawa była sprawna, więc całkiem nieźle sobie radził.

Trudno jest zapiąć dzinsy, ale dzisiaj rano mu się to udało. Inna sprawa ze sznurowadłami. Po przyjeździe do domu zrzucił buty i chodził w skarpetkach. W szafie ma spory wybór mokasynów. Jakoś wytrzyma do zdjęcia gipsu.

Gotowanie - z tym miałyby prawdziwy problem, ale los postawił mu na drodze jego rozwiązanie - kobietę zadziorną, trochę ekscentryczną i interesującą. W dodatku ładną. Z melodyjnym głosem, który go wabił i czarował.

Nie wiedział, jak zniesie obecność dzieci, ale ich los nie był mu obojętny, bo ich matka najwyraźniej z trudem wiązała koniec z końcem. Niezbyt dobrze sobie z tym radziła - a może, uświadomił sobie, jest bardzo dzielna i pomysłowa, tylko kłopoty się spiętrzyły ponad miarę. Stała dieta złożona z jajek i pieczywa jest na dłuższą metę nieznośna, zwłaszcza gdy chleb jest może i odżywczy, ale w smaku przypomina watę.

Wyjął mleko, napełnił dwie szklanki wodą.

- Dzieciaki, weźcie picie.

Przybiegli oboje. Edward trochę wolniej, Kitty w podskokach. Przekrzywiła główkę zupełnie jak jej mama. Było to tak zabawne, że omal nie parsknął śmiechem.

- No więc co to są kebaby? - Nawijała na palec pukiel włosów. Tym razem nie pohamował chichotu.

- Różne rodzaje mięsa. Mogą to być szaszłyki na patyku, takie, jakie latem grillujemy w ogrodzie, może być mięso pieczone na pionowym rożnie i skrawane ostrym nożem na cienkie wiórki. Podaje się je w kieszonce z chleba, z dodatkiem sałatki. Wasza mama ma rację, to nie jest najzdrowsze jedzenie, przynajmniej w naszym kraju. W Turcji są fantastyczne.

- Chciałabym spróbować. Bardzo lubię mięsko na patyku.

- Może po prostu weźmiemy kielbaski i wbijemy w nie patyki - zaproponował Edward.

Jake uznał, że w tej rodzinie to on jest głosem rozsądku i niezawodnym pomocnikiem, który rozbawia młodszą siostrę, opiekuje się braciszkiem i wspiera matkę w trudnych sytuacjach. Niełatwe zadanie dla takiego małego chłopca, pomyślał ze współczuciem.

Dziecko nie powinno przejmować na siebie roli dorosłego. Przekonał się o tym na własnej skórze. Przez wiele lat bezskutecznie usiłował skleić własną rodzinę, i co?

- Dobry pomysł - przyklasnął. - Jutro kupimy kielbaski.

Wziął oba kubki jedną ręką, pokuśtykał do jadalni i postawił na stole przed Amelią.

- Dziękuję - szepnęła.

Uśpiony Thomas wyglądał jak anioleczek - puciołowata mała buźka przytulona do matki, rozrzucone rączki z wałeczkami. Wzruszenie nie pozwoliło mu wykrztusić ani jednego słowa. Kiwnął tylko głową, zabrał swój kubek i wyszedł do drugiego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Sytuacja go przerosła. Pewne rzeczy są ponad jego siły.

Miał zamiar wypić herbatę w jej towarzystwie, porozmawiać jak cywilizowany człowiek, jednak dziecięcy szczebiot i widok szczęśliwego macierzyństwa zupełnie go rozstroiły. Jeszcze nie potrafił. Nie w przeddzień wigilii.

To dzień śmierci jego żony i syna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O co mu chodzi? Przyszedł, spojrzął i uciekł. Zajęła jego ulubiony fotel?

Nie, patrzył przecież na Thomasa, nie na nią. Czy jej się wydawało, czy miał łzy w oczach?

Wyobrażnia płata jej figle. Pewnie po prostu chce być sam. Zdaniem Kate Jake izoluje się od ludzi. Ona z dziećmi wchodzi na jego terytorium, więc trzyma się od nich z dala.

Dlaczego chciał zjeść z nimi kolację? Jest głodny?

Nic o nim nie wie, w tej sytuacji każda hipoteza jest po prostu zgadywaniem na oślep. Jednak podejrzanie mokrych oczu sobie nie wymyśliła.

- Położę tylko Thomasa i zaraz do was wrócę - zapowiedziała dzieciom.

Na górze ułożyła dziecko w łóżeczku. Pieluchę zmieni później. Teraz nie będzie go budzić.

Należy sprawdzić, co wywołało tę zagadkową reakcję Jake'a. W jej głowie uruchomiły się dzwonki alarmowe. Była przekonana, że cierpi, ale nie miała pojęcia, czemu. Nie może go zostawić, choć naraża się na zarzut, że wtyka nos w cudze sprawy. Najpierw nakarmi dzieci, a potem zajmie się problemami psychicznymi gospodarza.

- Robimy kolację - zawołała radośnie po zejściu na dół. - Kto chce rozbijać jajka?

Dała każdemu po jednym, sama zajęła się resztą. Nie może ryzykować, że skorupki będą im chrzęścić w zębach - jakoś jej się nie wydaje, że Jake byłby tym ubawiony.

Jakie ma przyprawy? Tymianek? Szałwia? Rozmaryn? Szkoda, że nie ma sera, ale w lodówce chyba widziała jedno opakowanie boczku.

Najpierw zrobiła kolację dla siebie i dzieci, potem wrzuciła pikantne frytki do piekarnika, a Kitty i Edwarda wysłała na górę do łazienki.

- Przyjdę wam poczytać przed snem, gdy tylko podam jedzenie Jake'owi - obiecała. Ich niepewne minki jak zawsze obudziły gniew na Davida, że naraził dzieci na utratę własnego domu i niepewność jutra.

Na siebie też się złościła. Jest winna, bo pozwoliła na to. Nie odeszła od męża, dawała mu kolejne szanse, choć raz za razem przekonywała się, że nie można na nim pole-

gać, bo łamie wszystkie obietnice. Odszedł od niej cztery lata temu, po czym wrócił po dwóch latach, błagając o przebaczenie. Przyjęła go, co jest dowodem jej krańcowej głupoty. Niewiele czasu minęło, by pojęła swój błąd.

Wtedy wreszcie poszła po rozum do głowy i wystąpiła o rozwód, choć nosiła już pod sercem owoc chwilowego pojednania z mężem. A chociaż z całego serca kochała synka, to jego przyście na świat skomplikowało jej życie i przez pewien czas uzależniło od Davida. Nigdy więcej nie da żadnemu mężczyźnie takiej władzy nad sobą.

Nigdy, nikomu, powtarzała, energicznie ubijając jajka na omlet, gdy na patelni skwierczały kawałeczki boczku.

Nie narazi swoich dzieci na podobne ryzyko. Zresztą te rozważania nie mają wielkiego sensu, bo Jake nie jest nią zainteresowany - jej obecność wyprowadza go z równowagi. Ona też będzie go ignorowała.

Wypuściła Rufusa na dwór, a sama skierowała się do ogródka przed kuchnią. Przykucnęła, zrywając w świetle padającym z okna zioła tam rosnące. Wciągnęła głęboko w płuca zimne czyste powietrze. To ją uspokoiło.

Przetrzymają ten koszmarny okres, wygrzebią się z życiowego dołka. Ona znajdzie pracę, a wtedy wszystko się poukłada.

Wróciła z psem i ziołami, skończyła robić omlet i poszła po Jake'a.

Pukając do jego drzwi, miała wrażenie, że staje na progu jaskini lwa. Otworzył jej niemal natychmiast.

- Zapach jest cudowny. Ślinka mi leci. Zgłodniałem bardziej, niż mi się wydawało.

Teraz już nie była pewna, czy zrobiła wystarczająco dużą porcję.

W jadalni spojrzał pytająco na widok jednego nakrycia.

- A pozostali?

- Dzieci były strasznie głodne, więc zjedliśmy wcześniej. Nie byłam pewna... -

Urwała, przygryzając wargi.

- Przepraszam. Zachowałem się nieuprzejmie. Wyszedłem bez słowa wyjaśnienia.

- Ja świetnie rozumiem. To pański dom. Przeszkadza panu nasze towarzystwo, proszę mi wierzyć, czuję się winna...

- Proszę się nie usprawiedliwiać. Nie znam całej historii, ale to oczywiste, że pani problemy się ostatnio spiętrzyły i robi pani wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby się z nimi uporać. Jakiegokolwiek są niedogodności wynikające z waszej obecności w moim domu, nie mają nic wspólnego z dziećmi. One mają pełne prawo do bezpieczeństwa i bezwarunkowej akceptacji. Szczerze ubolewam, że mogła pani odnieść najgorsze wrażenie z naszego pierwszego spotkania. Rzadko przebywam w towarzystwie dzieci - mam swoje powody, o których nie będę mówić - ale zapewniam, że pani dzieciaki w niczym nie zawiniły. Jeśli się pani zgodzi, chciałbym jutro coś dla nich zrobić, żeby naprawić nasze relacje.

- Naprawić? Nie rozumiem. Co pan ma na myśli?

- Chciałbym zorganizować dzieciom święta. Po pierwsze, zamierzam wybrać się na zakupy i przywieźć dużo świątecznych smakołyków. Obiecałem im kielbaski, ale chciałbym mieć na stole wszystko, co się kojarzy z Bożym Narodzeniem: pieczonego indyka z dodatkami, pomarańcze i mandarynki, babeczki z bakaliami, świąteczny tort, pudding. A jeśli dzieci nie przepadają za suszonymi owocami w cieście, to może rolada czekoladowa? No i choinka. Nie może się obejść bez prawdziwej choinki z całym mnóstwem ozdóbek.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie musi pan. Nie trzeba.

- Wiem, ale bardzo mi na tym zależy. Zazwyczaj nie obchodzę świąt, ale dzieci lubią przewidywalny świat, w którym szanuje się tradycje. Jeśli tylko sprawię im przyjemność, chciałbym to zrobić.

Z trudem dotarł do stołu w jadalni, usiadł przy nim z wyraźną ulgą, bo kolano mocno dawało mu się we znaki. Amelia trzęsącymi się rękami postawiła przed nim talerz.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

- Proszę się zgodzić i będziemy to mieć z głowy. Myśli pani, że mogę sobie pozwolić na kieliszek wina do kolacji?

- Naturalnie.

- Ale na whisky mi pani nie pozwoliła.

- To z powodu środków przeciwbólowych. Uznałam, że woda wystarczy. Teraz oczywiście może się pan napić wina.

- Proszę mi mówić Jake. Skusi się pani, Amelio?

- Po prostu Amelio. Nie chcesz zostać sam?

- Amelio, proszę się nie przekomarzać i otworzyć butelkę. Jest bardzo przyzwoity austriacki shiraz. Znajdziesz go w kuchni pod stołem, na stojaku.

- Smakuje ci? - upewniła się, przynosząc wino z kuchni.

Jadł, aż mu się uszy trzęsły.

- Świetny omlet. Jakich ziół użyłaś? Z ogrodu?

- Tak. Tymianku i szaławii. Znalazłam też trochę boczku w lodówce.

- Pyszne. - Z westchnieniem oddał jej talerz, na którym nie została nawet okruszyna. - Nie ma szansy na deser?

- Odtłuszczony jogurt? - zaproponowała.

- Raczej nie. Za to w zamrażarce w górnej szufladzie powinny być lody.

Wykwintne belgijskie lody czekoladowe - nawet ona nie potrafiła sobie odmówić takiego rarytasu.

Na kolację zjadła skrawki omletu - tylko tyle, by zaspokoić pierwszy głód - więc teraz w brzuchu jej burczało. Pałaszując lody, miała poczucie winy wobec dzieci. Lody były bardzo drogie, za jeden taki pojemnik mogłaby wyżywić rodzinę przez cały dzień. W dodatku kiedyś, gdy im się dobrze powodziło, to były ulubione lody Edwarda i Kitty.

- Proszę, przestań. Dzieci dostaną swoją porcję jutro. - Czytał jej w myślach, jakby wypowiedziała je na głos.

- Skąd wiedziałeś?

- Twoja twarz jest jak otwarta książka, emocje widoczne jak na dłoni. Przestań się samobiczować i opowiedz mi o sobie. Czym się zajmujesz zawodowo?

- W tej chwili niczym. Tłumaczyłam teksty techniczne dla firmy, która zbankrutowała. Byli mi winni za zlecenia za ostatnie trzy miesiące.

- Pech.

- No właśnie. A David, mój były mąż, zwiął przed wierzycielami do Tajlandii. Kolejne przedsięwzięcie, w które zainwestował, skończyło się katastrofą. Jest prawdziwym

mistrzem iluzji, stale nieobecny ojcem i - jak go określiła Kate - pięknym opakowaniem z niepiękną zawartością. Przestał mi dawać pieniądze, kiedy odeszłam od niego po raz drugi. Fakt, że byłam w ciąży z Thomasem, nie miał dla niego żadnego znaczenia. Nauczyłam się radzić sobie bez jego pomocy. Przez ponad rok czekałam, aż sąd przyzna mi alimenty. Miałam nadzieję, że moja sytuacja materialna się ustabilizuje, tymczasem straciłam pracę, a David jest niewypłacalny i nawet gdyby chciał, nie mógłby nas wspierać. Nieszczęścia chodzą parami, więc okazało się jeszcze, że właściciel domu, w którym mieszkałam, postanowił wycofać się z umowy najmu. Nie byłam w stanie zapłacić czynszu w terminie, a wtedy wypowiedział nam z dnia na dzień. Mówiąc prawdę, wyrzucił nas bez większych ceregieli.

- I przeniosłaś się do siostry?

- Wprowadziliśmy się dziesiątego grudnia. Nie wytrwaliśmy nawet dwóch tygodni.

- Skrzywiła się ironicznie. - Jak mówią, goście są jak ryby, psują się po trzech dniach, więc dwanaście to nie jest taki zły wynik. Poza tym pies naprawdę śmierdzi.

- Można go wykąpać.

- Nie pozwolili mi. W tym nieskazitelnie czystym domu nie było miejsca na podobne ablucje, a nie stać mnie na zabranie Rufusa do strzyżenia. Szwagier sugerował, żebym go umyła na dworze.

- W grudniu?!

- No właśnie.

- Co za idiotyzm. Przecież to mały piesek. Mogłabyś go wykąpać w umywalce i wysuszyć przed kominkiem.

- Naprawdę? Mogłabym to zrobić w tej nieskazitelnej kuchni?

- Czemu nie? A może wygodniej będzie w pralni, dla mnie to bez znaczenia. Rufus jest tego wart, prawda, stary? - Spaniel, który wygrzewał się w ciepłe bijącym od paleniska, poderwał głowę, a jego ogonek na potwierdzenie uderzył energicznie w podłogę.

Jake autentycznie lubi psy. Amelia poderwała się, by odnieść do kuchni naczynia, a naprawdę, by ukryć, jak bardzo ją wzruszyła ta niespodziewana życzliwość gospodarza.

Rufus podskakiwał przy jej nodze, wpatrzony z nadzieją w swoją panią.

- Wstyd, mały żebraku. Dostałeś już swoją kolację - skarciła psa.

Z podwiniętym ogonem podreptał teraz do Jake'a i zaczął się do niego łąsić.

- Ma nadzieję, że mu ulegnę - zachichotał Jake.

- Nie wolno go podkarmiać - ostrzegła. - Nie wolno mu prosić o dodatkowe kąski, a zresztą jest na specjalnej diecie.

- I pewnie jego karma jest droższa niż jedzenie całej waszej czwórki?

- Zgadza się. Ale Rufus jest wart każdego pensa, to wspaniałe psisko. Teraz przepraszam, ale obiecałam dzieciom, że im poczytam przed snem.

- W porządku, dam sobie radę. Najlepiej będzie, jak się wcześniej położę.

- Będę jeszcze potrzebna?

- Nie martw się. Do zobaczenia jutro. Zastanów się nad listą zakupów. Dziękuję za kolację, była bardzo dobra.

Zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Z uśmiechem szła po schodach, myśląc, że Jake Forrester w sprzyjających okolicznościach potrafi być czarujący. To bardzo niepokojące spostrzeżenie.

Zginał bagaż.

Taksówkarz postawił jego walizki przy wejściu, a teraz ich nie było. Pewnie Kate, pomyślał. Była tu wcześniej, gdy spał. Może zaniósła je do sypialni.

Musi się położyć. Drzemka na kanapie dobra była na godzinkę, ale nie na całą noc. Już po dziesiątej. Wypił jeszcze jeden kieliszek wina w towarzystwie Rufusa, zwiniętego w kłębuszek przed kominkiem, po czym zdał sobie sprawę, że ociąga się z pójściem spać, bo ma nadzieję, że Amelia zejdzie jeszcze na dół.

To nie ma najmniejszego sensu. Oboje są ludźmi po przejściach, zbyt dużo ryzykują, gdyby ulegli chwilowemu zauroczeniu - nieważne, jak byłoby silne. Nie stać go na żaden poważny związek, nie jest na to gotowy.

Kiedy już zdecydował się pójść na górę, okazało się, że nie może znaleźć swoich rzeczy.

Zajrzał do salonu, zabrał stamtąd lekarstwa i bardzo ostrożnie, schodek po schodku, wdrapał się na piętro. Miał zeszywniałe mięśnie. Dobrze by mu zrobiła gorąca kąpiel, ale nie chciał zasnąć w wannie i obudzić się w środku nocy w lodowatej wodzie.

Prysznic? Zamoczy gips, a nie da rady zawinąć go szczelnie w foliową torbę. Jest u kresu sił. Pomyśli o tym jutro. Odkładając na później błogą wizję gorących strumieni wody spływających po ciele, rozebrał się z dużym wysiłkiem, odkrył kosmetyczkę, która jakimś cudem zawędrowała na swoje miejsce do łazienki, umył zęby i wsunął się pod kołdrę.

Czysta rozkosz.

Nie ma niczego lepszego niż własne łóżko.

Tuż przed zapadnięciem w sen przypomniał sobie, że nie wziął środków przeciwbólowych, a to znaczy, że ból ręki obudzi go w środku nocy. Przyniósł wodę do popicia, połknął dwie tabletki i otworzył szufladę szafki nocnej, by schować resztę lekarstw.

I wtedy właśnie jego wzrok padł na fotografię.

Leżała między długopisami, spinkami do mankietów i bilonem niedbale wrzuconym do szuflady. Ostrożnie, z pewnym oporem wyjął oprawione w ramkę zdjęcie. Śmiały się z niego dwie twarze. Rachel, jak zwykle pełna radości życia, siedziała na trawniku, trzymając między kolanami Bena, który małymi łapkami rwał trawę i obсыpywał nią matkę.

Sześć miesięcy później, pięć lat temu co do dnia, oboje nie żyli. Potrafił ich na przejściu pijany kierowca, który właśnie opuścił przedświąteczne przyjęcie w swojej firmie. Rachel wybrała się po jakieś ostatnie sprawunki - odebrała od jubilera zegarek, który kupiła dla niego na Boże Narodzenie. Dowiedział się tego w szpitalu, gdy wręczono mu torbę z rzeczami żony i synka. Nosił ów zegarek przez ostatnich pięć lat, aż prezent od Rachel roztrzaskał się na kawałki na alpejskim zboczu podczas lawiny.

Tej lawiny, która sprowadziła go do domu - do Amelii i jej trójki dzieci.

Czy ma to traktować jak znak? Sygnał od Rachel, że powinien o nich zapomnieć i zająć się własnym życiem?

Z czułością powiódł palcem po ich twarzach. Ból po stracie najbliższych nigdy go nie opuścił. Ten ból co roku wypędzał go z domu w okresie Bożego Narodzenia, jednak najdalsze podróże nie pozwalały zapomnieć o tym, czego się nie da zapomnieć, i uciec przed czymś, czego się nie da cofnąć.

Odłożył fotografię, zgasił światło i oczami, w których zabrakło już łez, wpatrywał się w kolejną bezsenłą noc.

Coś ją obudziło - jakiś dziwny dźwięk, a chociaż nie znała wszystkich odgłosów tego domu, to ten właśnie wydał jej się niepokojący.

Wstała i zajrzała po kolei do dzieci, ale spały spokojnie. Thomas na plecach, z rączkami szeroko rozrzuconymi, Edward na brzuchu, z jedną nogą podkurczoną, Kitty skulona, z misiem w ramionach.

To nie one.

Jake?

Wyjrzała przez balustradę na schody, ale na dole było cicho i ciemno.

Rufus?

Może zaskomlał, chcąc wyjść na dwór. Może obudziło ją drapanie do drzwi?

Wciągnęła sweter na piżamę - bo oczywiście w całym tym pośpiechu zostawiła szlafrok w łazience u siostry - i cichutko zbiegła na dół. Na podeście pierwszego piętra zerknęła na drzwi sypialni Jake'a.

Wniosła tam wcześniej jego bagaże; nie było najmniejszej szansy, by sobie sam z tym poradził. Dzięki temu miała okazję rzucić okiem na pokój pana domu.

Największe wrażenie zrobiła na niej łazienka ze stojącą pośrodku ogromną staromodną wanną z wywijanymi brzegami i wspaniałym widokiem z okna na trawnik, ciągnący się aż do granicy lasu. Była w niej też gigantycznych rozmiarów kabina prysznicowa oraz błyszczące bielą bliźniacze umywalki.

Po przeciwnej stronie pokoju stało łóżko, a właściwie łoże - stare, solidne, z czterema rzeźbionymi kolumnkami, idealnie pasujące do tego pomieszczenia i całego domu. Takie łoże, na którym ludzie się kochają i rodzą się ich dzieci, a kiedy przychodzi pora, odchodzą w ostatnią drogę, otoczeni przez liczną rodzinę.

Cudowne łóżko, mebel z duszą.

Ciekawe, czy już śpi? Może jeszcze nie, ale myślenie o Jake'u w łóżku jest wkroczeniem na niebezpieczny grunt, naruszeniem prywatnego tabu.

Dom wydawał się uśpiony, jednak miała wrażenie, że od powrotu gospodarza coś się zmieniło w jego atmosferze - jakby wszystko nareszcie znalazło się na swoim miejscu i zapanował metafizyczny ład.

Nadal nie rozumiała, co właściwie ją obudziło. Drzwi do jego pokoju były niedomknięte. Kiedy po położeniu dzieci i ponownym rozpakowaniu ich ubrań zeszła do kuchni, by pozmywać i wypuścić psa, Jake'a już nie było.

Widocznie zdążył się położyć. Nie przyjrzała się wtedy drzwiom do jego sypialni. Może w nocy zszedł do kuchni, a ona podświadomie zarejestrowała skrzypnięcie zawiasów? Jednak na parterze było ciemno.

W pokoju śniadaniowym, zalanym światłem księżyca, bardziej usłyszała niż dojrzała Rufusa, który dawał o sobie znać, stukając ogonkiem o podłogę.

- Cześć, mój piękny. Dobrze się czujesz?

- Domyślam się, że mówisz do psa.

Wrzasnęła, jakby zobaczyła ducha, a potem zaczęła się śmiać.

- Na miłość boską, Jake, o mało nie umarłam ze strachu! - Wyciągnęła rękę w kierunku kontaktu, ale zatrzymała się, świadoma, że stara flanelowa piżama nie dodaje jej uroku. - Wszystko w porządku?

- Nie mogłem spać. A ty?

- Wydawało mi się, że usłyszałam jakieś trzaski.

- W tym domu? Bez przerwy coś trzeszczy i skrzypi.

- Wiem i to mi zupełnie nie przeszkadza, a nawet świetnie robi na nerwy. Miałam wrażenie, że to było coś innego.

- Potknąłem się o twojego psa. Nie zauważyłem Rufusa w ciemności i niechcący go kopnąłem. Zaskomlał. Nie martw się, nic mu nie jest. Trochę się na mnie obraził, więc zostałem go udobruchać.

- Rzeczywiście czasem się kręci pod nogami. Myślę też, że był bity jako szczeniak. Przebaczył ci?

- Sądzę, że tak. Nawet siedział mi na kolanach.

- A więc wszystko się dobrze skończyło. - Nie była pewna, czy powinna zostawić Jake'a samego, ale instynkt jej podpowiadał, że nie wszystko jest w porządku.

- Masz wystarczająco dużo żaru?

- Warto coś podłożyć.

Przyniosła całe naręczce dużych polan, a kiedy ogarnął je płomień, w żółtym świetle ognia pokój, mimo swojej wielkości, wydał się przytulny i ciepły.

- Miło jest siedzieć i patrzeć na ogień. To pomaga.

Pomaga? Na co pomaga, miała ochotę zapytać, ale powstrzymała się. Przyklękła na dywaniku, głaszcząc machinalnie Rufusa i czekała, że Jake powie coś więcej.

Jednak on tylko westchnął, oparł głowę o zagłówek fotela i przymknął oczy. Teraz zauważyła szklankę w ręce mężczyzny i butelkę na stole. Whisky?

- O co chodzi?

- O nic. - Zawstydziała się, jakby ją przyłapał na podglądaniu.

- Kobietom zawsze o coś chodzi - prychnął. - Tak, to whisky. Nie, nie pomaga.

- Jake...

- Nie pytaj, Amelio. Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, nalej nam herbaty.

- A może szklankę gorącego mleka?

- Nie jestem pięciolatkiem.

- Jesteś wykończony, połamany i sam przyznałeś, że się naszprycowałeś kofeiną.

Mleko pomoże ci spać.

- Herbata - powtórzył uparcie.

Dała za wygraną. Gdy stawiała kubki i imbryk na stole, dopijał whisky. Westchnął, odcytując naganę w jej oczach.

- Nie jestem alkoholikiem, Amelio. Wypiłem jedną szklankę.

- Nic takiego nie powiedziałam! - Dlaczego doszukiwał się nagany tam, gdzie była jedynie troska o jego zdrowie?

- Więc nie patrz na mnie jak archanioł Gabriel na zbłąkaną duszę!

- Jestem ostatnią osobą, która ma prawo krytykować innych. - Zaśmiała się gorzko.

- Spójrz na mnie. Jestem bezdomna i bezrobotna, mam troje dzieci, tylko jedno było planowane, moje życie jest w rozsypce. Nie zamierzałam cię ganić. Zastanawiałam się tylko...

- Nad czym? Dlaczego jestem takim pożałowania godnym draniem?

- A jesteś? Mam na myśli „godnym pożałowania”. Kate uważa... - Urwała, nie chcąc, by się wydało, że plotkowały na jego temat, ale już to zauważył.

- Więc co uważa Kate?

- Że jesteś z natury samotnikiem.

- A co ty sądzisz?

- Moim zdaniem jesteś samotny i smutny. Powiedziała też, że jesteś bardzo skryty, ale myślę, że mówienie o swoich sprawach sprawia ci zbyt wielki ból.

Twarz Jake'a skamieniała. Była teraz wyprana z wszelkich emocji. Drgał mu tylko mały mięsień na twarzy.

- Daruj sobie amatorską psychoanalizę i zajmij się herbatą. - Jego głos był równie nijaki jak wyraz twarzy, jednak uporczywy tik zdradzał napięcie.

Nie wiedziała, czy lepiej nalegać, czy wycofać się, bo może właśnie otwiera puszkę Pandory i pożałuje wszystkiego, co się od tej chwili stanie.

Nalała herbatę z czajniczka do kubków, podała mu, a potem zasiadła przed kominem, popijając gorący płyn małymi łykami. Po pewnym czasie nieustępliwa, nieprzyjazna cisza między nimi zamieniła się w ostrożne milczące zawieszenie broni.

Jake odezwał się pierwszy.

- Nie zrobiłaś listy zakupów?

- Jeszcze nie, ale jeśli chcesz, mogę się za to zabrać.

- Wystarczy, jeśli ją przygotujemy przy śniadaniu. Dzieci pewnie zrywają cię o świcie, niezależnie od tego, o której idziesz spać.

- Są jak skowronki.

Uśmiechnęła się. Napięcie ulotniło się bez śladu.

- Nie zwracaj na mnie uwagi, Amelio. Wszystko jest w porządku. Rano będę jak nowy. - Wyciągnął do niej dłoń.

Nie bardzo rozumiała, co właściwie zaszło i jakiego bolącego miejsca niechcący dotknęła, ale delikatnie ścisnęła podaną rękę.

- Dziękuję za herbatę. To było przyjemne - dodał jeszcze.

Za herbatę czy za towarzystwo? Nie spytała, a on nic więcej nie powiedział, ale Amelia wiedziała jedno. Niezależnie od tego, co mówi Kate, ten mężczyzna nie jest urodzonym samotnikiem.

Życzyła mu dobrej nocy i poszła do siebie, jednak nie zasnęła, dopóki nie usłyszała cichego skrzypienia schodów i stuknięcia, gdy zamknął drzwi do swojego pokoju.

Wtedy odetchnęła z ulgą i wkrótce pogrążyła się w niespokojnym śnie.

TLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po raz pierwszy od lat wybrał się do supermarketu i od razu przekonał się, że wigilia nie jest najlepszym dniem na zakupy. Już przy wjeździe na parking była kolejka, a zanim znaleźli wolne miejsce, Jake był gotów odtrąbić odwrót.

W środku - koszmar, tak jak się spodziewał. Sklep wypełniony był po sufit świątecznymi towarami, wszędzie wisiały bożonarodzeniowe dzwoneczki, a sprzedawcy mieli na głowach czerwone mikołajowe czapki. Z głośników płynęły irytujące radosne melodyjki przerywane wezwaniami, by personel z innych działów wspomógł przepracowanych kasjerów. W ciasnych przejściach, gdzie klienci z wyładowanymi po brzegi wózkami blokowali innym dostęp do półek, powstawały zatory.

- Mam pomysł - jęknął Jake, gdy ktoś potrącił go koszem w kolano. - Ty najlepiej wiesz, co nam potrzeba, ja nie chcę być szturchany przez ludzi, którzy są w amoku, a Thomas potrzebuje opieki. Stanę z dzieckiem z boku, a wy zróbcie rundę po całym sklepie i weźcie wszystko, co uznacie za stosowne.

Skoncentrował się na zabawianiu małego - co było dla niego trudnym zadaniem nie dlatego, że nie wiedział, jak to zrobić, ale wręcz przeciwnie, ze względu na całą masę rozczulających wspomnień. W pewnym momencie uświadomił sobie, że jego pomysł nie zdał egzaminu: zupełnie się rozklei, jeśli dłużej będzie patrzył na słodką buzię niemowlęcia i jego słodki uśmiech.

Tymczasem Amelia krążyła po sklepie, a w jej wózku niewiele przybywało. Nie chciała wydawać zbyt dużo, w końcu były to pieniądze Jake'a, więc zastanawiała się nad każdym produktem. Jake wypatrzył ją przy stoisku ze świeżymi indykami.

- O co chodzi?

- Są za drogie. Mrożone byłyby dużo tańsze.

- Ale ich rozmrażanie trwa w nieskończoność. Nie mamy wyboru. Tu masz indyki rasy Brąz, w dodatku z wolnego wybiegu, wybierz jednego.

- Znasz się na indykach? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Mają podobno najlepszy smak, a wolny wybieg bardziej do mnie przemawia ze względów etycznych. Są najdroższe, a to zazwyczaj idzie w parze z wysoką jakością. Weź i idziemy dalej.

- Są naprawdę strasznie drogie. Mam wyrzuty sumienia, że szastam twoimi pieniędzmi.

Machnął tylko ręką i sam wrzucił pokaźne ptaszysko do wózka.

- Jeden zakup z głowy. Co dalej?

- Nadzienie - podsunęła nieśmiało.

- I kiełbaski. Obiecałeś nam pieczone kiełbaski na patyku - przypomniała Kitty.

- Proszę bardzo, najlepsze kiełbaski do pieczenia. - Wrzucił trzy opakowania, po zastanowieniu dodał jeszcze dwa. - Weźmiemy bekon?

- Dobrze. - Sama dorzuciła nadzienie do indyka z mielonego mięsa wieprzowego. Jake się skrzywił i dorzucił drugie, w którym były także żurawiny i kasztany.

- Chyba się rozkręciłeś - skomentowała rozbawiona.

Ona także zaczęła wybierać produkty, kierując się ich jakością, a nie najniższą ceną. Kosz zapełnił się warzywami i owocami; na samym szczycie królował pudding świąteczny, który na wielkim stole w jadalni będzie się imponująco prezentował, oraz tradycyjne ciasto czekoladowe uformowane jak pień drzewa - przysmak dla dzieci. Kiedy już zapłacili za sprawunki i zapakowali je szczęśliwie do bagażnika, przyszedł czas na „zakupy dla przyjemności”, jak je określiła Kitty.

Ozdoby choinkowe, całe siatki czekoladowych monet w złotej cynfolii, tradycyjne kolorowe cukierki, wieniec na drzwi - ta lista była niemal tak długa jak poprzednia. Kiedy wreszcie doszli do jej końca, dzieci były głodne i zmęczone, a Thomas, przez cały czas anielsko grzeczny, zaczął popłakiwać.

- Weź dzieci, zjedzcie coś i odpocznijcie, a ja zajmę się zakupami - zaproponował, wyciągając z portfela dwudziestofuntowy banknot.

Zawahała się, ale wcisnął jej pieniądze do ręki, więc podziękowała mu uśmiechem i zabrała dzieci do baru szybkiej obsługi.

Nareszcie miał okazję przejść się między półkami i wybrać prezenty dla całej czwórki. A ponieważ kolejki się skurczyły, w dziale obsługi klienta znalazł pomocne

ekspedientki, które opakowały upominki dla dzieci i ozdobiły je fantazyjnie zawiązanymi wstążkami.

Wybrał rzeczy proste i praktyczne. Dla Kitty - książeczkę do kolorowania z zmieniającymi się tęczowo okładkami; widział, jak dziewczynka przeglądała ją wcześniej i jak niechętnie odkładała na półkę. Dla Edwarda - skomplikowany model do składania, na który chłopczyk zerkał z niekłamanym zachwytem w oku. Wreszcie dla Thomasa - plastikowy pojemnik z otworami w różnych kształtach, przez które należało wrzucać dopasowane do nich klocki. Została mu Amelia.

Po drodze pocierała ręce i chuchała na nie, by je rozgrzać, a gdy Jake zapytał, czemu nie nosi rękawiczek, wyjaśniła, że wprawdzie grzeją, ale utrudniają jej wykonanie najprostszycch czynności.

W sklepie zauważył rękawiczki bez palców, z dopinaną na guziczek końcówką, którą można założyć, gdy zimno zaczyna dokuczać. Były śliczne, w różowe pasczki, z ciepłym szalikiem do kompletu, którym Amelia będzie mogła owinać szyję podczas spacerów z psem.

Kupił nawet kubraczek dla Rufusa, bo psina najwyraźniej źle znosiła niskie temperatury.

Na tym skończył, wiedząc, że Amelia czułaby się skrepowana, gdyby przesadził z hojnością. Dorzucił jeszcze puzzle. Układanie ich będzie świetną zabawą dla całej rodziny. Kiedy już wszystkie prezenty zostały zapakowane, a ktoś z obsługi pomógł Jake'owi zanieść je do samochodu, ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że uśmiecha się do ludzi i odpowiada im na życzenia wesołych świąt.

To coś zupełnie nowego.

Znalazł Amelię z dziećmi w barze. Na stole zostały tylko opakowania po kanapkach i plastikowe kubki.

- Skończyliście?

- Właśnie zamierzaliśmy cię poszukać. Dziękujemy.

- Najwyższy czas się zbierać. Trzeba odwieźć zakupy, a potem kupić choinkę.

- Popatrz na to drzewko. Jest nadzwyczajne!

Była to zwykła jodła, ale na tyle duża, że z największym trudem wnosił ją, korzystając tylko z jednej ręki. Wszystko wynagrodził mu wyraz niekłamanego zachwyty na twarzach dzieci - i łzy wzruszenia w oczach Amelii.

Umieścili choinkę na honorowym miejscu - w dużym salonie przy oknie wykuszowym. Rozpalili ogień w kominku - prawdziwy huczący i trzaskający ogień. Dom wypełnił się zapachem igieł świerkowych i aromatycznym dymem z drewna jabłoni i natychmiast stało się jasne, że nadchodzi noc Bożego Narodzenia. Trzeba było jeszcze ubrać choinkę, ale to już Jake'a przerosło.

- Poradzicie sobie beze mnie - stwierdził, kierując się do wyjścia, jednak Kitty nie pozwoliła mu odejść.

- Nie, Jake! Musisz nam pomóc. Nie sięgniemy do czubka, a trzeba założyć lampki i gwiazdę, i wszystko!

Czy małe dziewczynki muszą używać tylu wykrzykników i z emfazą wymawiać co drugie słowo? Oczy Kitty wpatrywały się w niego z taką nadzieją, że nie mógł jej zawieść.

- Najpierw wstawię wodę...

- Nie! Najpierw lampki, bo nic się nie da zrobić, zanim nie wrócisz, a to będzie trwało wieki!

Znowu wykrzykniki.

- W takim razie najpierw założę lampki, ale tylko lampki, a potem szybko napijemy się herbaty i dopiero wtedy zakończymy ubieranie drzewka. Dobrze? - powiedział, doskonale imitując jej intonację.

Spojrzała na niego podejrzliwie, niepewna, czy tylko się z nią droczy, czy się z niej wyśmiewa. Uspokoila się na widok łagodnego uśmiechu mężczyzny.

Miał ochotę jej obiecać, że wszystko będzie dobrze, ale nie miał prawa wchodzić w rolę ojca, ani możliwości wpłynąć na jej prawdziwego tatę, by zaczął się przyzwyczajanie zachowywać.

Jeśli David Jones, którego kiedyś poznał, i David, były mąż Amelii, są jedną i tą samą osobą, nie miał o nim dobrej opinii. Owszem, był on rozmówcą pełnym wdzięku,

ale mówił głupstwa i próbował go namówić na podejrzone inwestycje. Jake odmówił, a jakiś czas później dowiedział się, że całe przedsięwzięcie skończyło się wielką klapą.

Niewiele może zrobić dla córki Davida. Przynajmniej tyle, że teraz jej pomoże przy ubieraniu choinki, a potem zadba, by wraz z mamą i rodzeństwem miała gdzie mieszkać, póki ich sytuacja materialna się nie unormuje.

Jedynym problemem jest ból serca, na który nie ma lekarstwa.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Przeżyję. Już prawie kończę. - Rzucił Amelii porozumiewawczy uśmiech.

- Wstawię wodę na herbatę. Przydadzą ci się środki przeciwbólowe.

- Nic mi nie jest. Trudno jest stać na palcach i trzymać rękę w górze.

- I kucać, i nachylać się...

- Nastaw wodę - przerwał jej wyliczankę.

Patrzył na nią, gdy oddalała się w holu. Dostrzegł lekkie kołysanie bioder, pełne gracji ruchy, nieuchwytną lekkość, której jeszcze wczoraj nie było. Jest piękną pociągającą kobietą, odważną i inteligentną. Miał pokusę, by ją wziąć w ramiona, i do diabła z konsekwencjami.

Oczywiście, to tylko zmysły. I nic więcej. Wrócił do swojego zadania.

- Prześlicznie! - Zachwyt Kitty był wystarczającą nagrodą.

- Jest trochę krzywo.

- Nie widać - zapewnił Edward. - Możemy zawieszać bombki i cukierki?

- Musimy poczekać na mamusię! - Dziewczynka oburzyła się, więc Jake posłał ich oboje do kuchni do pomocy. Sam usiadł na kanapie, skąd łatwiej było obserwować Thomasa zajętego swoim gryzaczkiem.

- Co porabiasz, chłopie? - zagadał do niego, a maluch dumnie zademonstrował swoją zaślinioną zabawkę. Zupełnie jak Ben.

- Smakuje ci?

- Mumum - gaworzył Thomas, na powrót pakując sobie gryzaka do buzi.

Jake parsknął śmiechem, który bardziej przypominał stłumione chlipnięcie.

Coś takiego jest w małych dzieciach, że wkradają się do dorosłych serc zupełnie niepostrzeżenie i bez trudności.

Kiedy chłopczyk rzucił zabawkę i wyciągnął rączki, Jake nie potrafił mu się oprzeć. Podał dziecku zdrową rękę i palce wystające z gipsu, a Thomas stanął chwiejnie na nóżkach, wydając entuzjastyczne okrzyki.

- Jak sobie radzisz?

- Mogłabyś go teraz wziąć? - westchnął z ulgą na dźwięk głosu Amelii.

- Och, Jake! Thomas, kochanie, chodź do mamusi.

Delikatnie odczepiła paluszki dziecka, ból w zranionej ręce ustąpił. Jednak widok ufego uśmiechu na puciołowatej buźce i wspomnienie dotyku małej łapki nadal dotkliwie przewiercały mu serce. Najchętniej by stąd uciekł.

- Twoja herbata i lekarstwa - wskazała Amelia.

- I czekoladowe biszkopty. I ciasteczka owsiane - cieszył się Edward.

- Wielkie nieba. Można by pomyśleć, że to jakieś święta! - zażartował ku uciesze Kitty, która bez ceregieli wdrapała mu się na kolana.

- Jutro jest Boże Narodzenie - wyjaśniła serio. - Trzeba skończyć ubieranie choinki.

- Najpierw się posilimy.

Kiedy Kitty przytuliła się do niego, poczuł na sobie spłoszony wzrok Amelii i zrobiło mu się smutno. To David powinien tu być ze swoimi dziećmi, zamiast ukrywać się przed odpowiedzialnością gdzieś w Tajlandii. To Rachel i Ben powinni wraz z nim ubierać choinkę. Ani Amelia, ani on nie zasługiwali na to, co ich spotkało. Los ich potraktował po macoszemu.

Jake jest wprost niewiarygodny. Nie mogła uwierzyć, jak bardzo miły był przez cały dzień. Wczoraj zachowywał się w stosunku do niej wręcz podle, był cyniczny i pełen goryczy, ale jakimś cudem to wszystko zniknęło. Dziś stał się człowiekiem, o którym mówiła Kate: szlachetnym w każdym calu, chodzącą dobrocią.

Był cudowny dla dzieci, przekomarzał się z nimi, spełniał ich zachcianki, znosił ich męczący entuzjizm. A kiedy choinka została przyozdobiona i Amelia pozamiatała igły, poszli do kuchni. Zabrała się za gotowanie kolacji, tańcząc przy tym i śpiewając na cały głos nadawane w radiu kolędy, ze srebrzystymi łańcuchami choinkowymi wplecionymi we włosy. Thomas zaśmiewał się na cały głos na widok matki.

Zauważyła nagle, że Jake przygląda się jej z dziwną miną. Poczowała przyspieszone bicie serca. Nie. Wymyśliła coś sobie. Wyobraźnia płata jej psikusy. Jake nie mógłby pragnąć kobiety pozbawionej środków do życia, z trójką dzieci na głowie i psem równie kosztownym, co śmierdzącym. Wyciągnęła z włosów srebrzysty łańcuch i zawiązała psu wokół szyi jak kokardę. Czas zająć się kolacją i niczym innym.

Kiełbaski na patykach dla Kitty, z drobno pokrojonymi smażonymi warzywami włożonymi do pity, by mogła udawać, że je kebab, następnie owoce, na które normalnie nie byłoby jej stać, pokrojone na kawałki, do zamaczania w roztopionej czekoladzie. Jake postawił na piecyku miseczki, wrzucił do nich kostki czekolady, która się rozpuściła w najwspanialszy sos.

Dzieci cieszyły się każdym kęsem. Nawet Thomas spróbował kiełbaski, zjadł kilka plasterków banana i obrane ze skórki winogrona zanurzone w czekoladzie. Kolacja okazała się prawdziwym sukcesem, mimo ogromnego bałaganu w kuchni.

- Dzieci, czas spać - zarządziła Amelia.

- Ale są święta!

- Im szybciej się położycie, tym szybciej się zaczną. Święty Mikołaj nie wśliźnie się kominem, dopóki nie będziecie smacznie spali.

- Ale on w ogóle nie przyjdzie, bo w kominku pali się ogień - odparła Kitty ze zmartwioną miną.

Na szczęście Jake z miejsca uratował sytuację.

- To nie problem. Jest jeszcze jeden komin w jadalni, więc wejdzie przez tamten.

- Nie będzie wiedział, gdzie położyć prezenty! - martwiła się Kitty.

- Poradzi sobie, bo on wie wszystko - uspokoił ją Edward. Jego cierpliwość i opiekuńczość wobec młodszej siostry rozczuliły Amelię do łez. - Chodźmy już do łóżka i wtedy przyjdzie.

- Obiecujesz? - Kitty spojrzała z nadzieją na matkę.

Och Boże, takie cudowne dzieci, a ona tak mało dla nich ma. Będą okropnie rozczarowani.

- Obiecuję - zapewniła mimo wszystko.

Wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi i Jake zerwał się pierwszy.

- Otworzę. To pewnie Kate.

Amelia poszła za nim, chcąc się przywitać z przyjaciółką, jednak za drzwiami usłyszeli łatwy do rozpoznania gwar licznych głosów.

- Kolędnicy. - Wyraźnie sposepniał.

- Zajmę się nimi - obiecała łagodnie i otworzyła drzwi.

Chciała wrzucić kilka monet do ich puszek i odesłać dalej. Jednak Jack ciągle stał koło niej, a wikary, który przyszedł ze swoimi chórzystami, rozpromienił się na jego widok.

- Panie Forrester! Słyszeliśmy o pańskim wypadku, dlatego pomyśleliśmy, że w drodze z wieczornego nabożeństwa odwiedzimy pana i pokolędujemy wspólnie. Wesołych świąt Bożego Narodzenia.

Jack otworzył usta, zamknął je z powrotem i uśmiechnął się uprzejmie.

- Dziękuję. - Pewnie nadal tkwiłby w miejscu, gdyby Amelia nie odsunęła go lekko, otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła kolędników do środka.

- Zmarzniecie. Wchodźcie do środka i dołączcie do nas.

W tej sytuacji nie było innej możliwości, musiał grać rolę gościnnego gospodarza, niezależnie od tego, jak się z tym czuł. Zrobił więc dobrą minę do kiepskiej gry.

- Proszę, przy ogniu będzie ciepło. - Wprowadził go do salonu. Zgromadzili się przy kominku i odśpiewali wszystkie stare, powszechnie lubiane kolędy - „Cichą noc”, „W żłobie leży” i „Przybądźcie wierni”. Gdy wikary wyraził żal, że brakuje im sopranu do kolędy „Pewnego razu w mieście króla Dawida”, Amelia zachęcająco ścisnęła ramię synka.

- Spróbuj - szepnęła.

Edward wysunął się o krok do przodu.

- Ja mógłbym zaśpiewać - zaoferował.

Wikary spojrzał na niego i szeroko się uśmiechnął.

- Proszę bardzo. Czy potrzebujesz tekstu?

Pokręcił głową, podszedł do kolędników i zaczął śpiewać.

Jake oniemiał z wrażenia.

Głos Edwarda wypełnił pokój, czysty i słodki. Poczł dławienie w gardle. Ten chłopięcy śpiew przypominał mu tak wiele - udrkę dzieciństwa, ukojenie, jakie przynosiła mu muzyka. Ciężką pracę, ale i ogromną satysfakcję płynącą z przynależności do chóru.

Kiedy Edward zbliżył się do końca pierwszej zwrotki, a pozostali mu zawtórowali, Jake ani się spostrzegł, a on również dołączył do chóru. Jego głos był silnym głosem mężczyzny, trochę niepewnym z powodu braku ćwiczeń i miotających nim emocji, ale melodia dobrze znanej pieśni porwała go i napełniła radością. Edward spojrzł na niego zadziwiony i uśmiechnął się, jakby nagle dokonał cudownego odkrycia.

I może tak właśnie było.

Również Jake odkrył coś niespodziewanego - ten mały chłopiec ma prawdziwie piękny głos. To byłaby niesprawiedliwość wołająca o pomstę do nieba, gdyby nie dano mu szansy rozwijania talentu. Zamierzał zrobić, co w jego mocy, by pomóc Edwardowi, nawet jeżeli miałyby to być wyłącznie zachęcenie go do śpiewania w szkolnym chórze.

Tymczasem kolędnicy rozpoczęli pieśń „Bóg uspokaja was radośnie, panowie”, wprost wymarzoną dla jego barytonu. Po raz pierwszy od lat nie opierał się, wziął głęboki oddech i pozwolił sobie na śpiew pełną piersią. Stary dom odżył, wypełniony radosnym i harmonijnym brzmieniem ich głosów.

Edward uśmiechnął się z uznaniem, a on odwzajemnił uśmiech. Amelia i Kitty wpatrywały się w niego szeroko otwartymi oczami, zdumione i zachwycone. Kiedy skończyli kolędę, zapanował radosny gwar. Amelia pobiegła do kuchni i wróciła z keksem, który upiekła wcześniej. Jake zaoferował drinki, ale wszyscy odmówili.

- Przepraszamy, bardzo byśmy chcieli zostać, ale czas iść do domu. - Była przecież noc wigilijna, a oni przyszli do niego w odruchu serca, aby mu zrobić przyjemność. Nie znali się, ale nie zawahali ani na moment, gdy usłyszeli, że miał wypadek. Chcieli mu zwiastować Boże Narodzenie i podzielić się swoją radością. W skorupie otaczającej jego pogrążoną w smutku duszę powstała kolejna szczelina, przez którą wpadło do środka trochę światła.

- Bardzo dziękuję - mówił szczerze, odprowadzając gości do drzwi. - Dzieci były zachwycone. To niezwykle miła wizyta i naprawdę nie wiem, jak mógłbym się odwdziaczyć.

- Cóż, dach kościoła wymaga naprawy - zażartował wikary, a choć nie mówił serio, Jake i tak obiecał sobie w duchu, że wyśle mu czek. - A gdyby chłopiec chciał dołączyć do chóru...

- Moi goście są tu tylko z krótką wizytą - odparł Jake, lecz poczuł się przy tym nieswojo, jakby powiedział coś niewłaściwego. - Ale tak, też jestem tego zdania. Chłopiec powinien śpiewać w chórze.

- Jak pan w swoim czasie, przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Proszę do nas dołączyć. Zawsze znajdzie się miejsce dla dobrego głosu.

- Moja kariera śpiewaka już dawno się skończyła, ale dziękuję za zaproszenie. Wesołych świąt, dobranoc.

Cały chór radosnych głosów życzył mu dobrej nocy i radosnych świąt. Jake zamknął drzwi i odwrócił się. Edward stał tuż za nim.

- Naprawdę śpiewałeś w chórze? - upewnił się nieśmiało, a Jake przytaknął.

- Tak, byłem wtedy w twoim wieku. Miałem dwanaście lat, gdy zaczęła się mutacja i musiałem zapomnieć o śpiewaniu na kilka następnych lat. Nigdy do tego nie wróciłem. Jednak w szkole należałem do chóru. A ty?

- Nigdy nie mieliśmy w szkole chóru, ale nauczycielka muzyki uważała, że ktoś powinien mnie kiedyś przesłuchać. Miałem śpiewać solówkę na szkolnym koncercie w zeszłym tygodniu, ale musieliśmy się przenieść do cici Laury i to było za daleko od szkoły, musiałem się wycofać. A ćwiczyłem tygodniami...

- Wielka szkoda. Ale przynajmniej zaśpiewałeś dla nas i to było świetne. Bardzo dobrze się spisałeś. Chodź ze mną, chcę ci coś pokazać.

- Zdjęcie?

- Nie. Film z czasów, gdy byłem chórzystą. Śpiewałem solo „Bóg uspokaja was radośnie, panowie” na początku nabożeństwa. Miałem wtedy dwanaście lat.

Jake nie wspomniał, że jego wykonanie było pokazywane w telewizji, gdyż uznał to za nieistotne. Zabrał Edwarda do salonu, znalazł właściwe DVD, na które była prze-grana kasetka wideo z występu, i włączył odtwarzanie.

- Jejku - jęknął z zachwytem Edward po koniec solówki, gdy głos Jake'a ucichł. - To było niewiarygodne. Musiałeś być przerażony.

- Miałem straszną tremę - przyznał Jake - ale przeżycie było tego warte. Było fantastycznie i nie żałuję ani minuty. Ciężka praca, ale też dużo zabawy. Nie zamieniłbym tego na nic innego.

Opowiedział chłopcu więcej o figlach, jakie płatał ze swoimi kolegami i przez które wpadał w tarapaty, o ciężkiej pracy i wyczerpującym planie prób, ale także o przejmującym dreszczu emocji towarzyszącym zaszczytowi śpiewania w katedrze.

- Bardzo chciałbym tak śpiewać - rozmarzył się Edward.

- Chciałbyś? To ogromne zobowiązanie. Musiałem pójść do szkoły z internatem. Chociaż prawdę mówiąc, mój dom nie był szczęśliwym miejscem, więc właściwie mnie ucieszyło to rozwiązanie.

- Dlaczego nie byłeś szczęśliwy w domu?

- Och... Moi rodzice bardzo się kłócili, zawsze im tylko zawadzałem, więc cieszyłem się, kiedy mogłem im zejść z drogi. Tak było lepiej dla nas wszystkich. Ty jesteś szczęśliwy, czyż nie?

Chłopczyk kiwnął głową.

- Nie mógłbym zostawić mamusi. Ona mnie potrzebuje.

- Tak, oczywiście, potrzebuje cię, ale wiesz... Również chce, abyś był szczęśliwy. Jeżeli śpiewanie by cię uszczęśliwiło, to przecież nie musiałbyś chodzić do szkoły z internatem. Większość szkół ma chór, z pewnością mają go większe kościoły. Jestem pewny, że wszędzie będą wniebowzięci, kiedy usłyszą twój głos.

- Ale my nie mieszkamy nigdzie na stałe, więc nie mamy ani swojego kościoła, ani szkoły - odparł Edward, a Jake poczuł ukłucie w sercu, słysząc smutek w głosie tego biedaka, który czuł, że nigdzie nie może się zadomowić.

- Przyjdą lepsze czasy, niedługo - pocieszał go, mając nadzieję, że mówi prawdę. Wyłączył telewizor i wstał. - Lepiej biegnij do łóżka, bo inaczej twoja mama będzie na mnie zła. Śpij dobrze, Edwardzie, zobaczymy się rano.

- Dobranoc. - Edward bez żadnego uprzedzenia podbiegł do Jake'a, zarzucił mu rękę na szyję i uściskał go, a potem wybiegł z pokoju.

A Jake stał w miejscu, nie mogąc się ruszyć, do głębi poruszony prostym spontanicznym gestem dziecka.

Amelia zamarła w holu, miotana sprzecznymi emocjami. Śpiew Jake'a był niezwykle, ciarki przeszły jej po plecach, a do oczu napłynęły łzy. Najpierw wsłuchiwała się w melodię, potem usłyszała rozmowę mężczyzny z jej synem. Współczuła mu z całego serca. Biedny mały chłopiec, który czuł się niekochany i niechciany przez rodziców. Takich rzeczy się nie zapomina. Dzięki Bogu za szkolny chór, który pozwolił temu dziecku na przeżycie idealnego piękna, na znalezienie pasji, która kompensowała rozczarowania jego krótkiego życia.

Pozwoliła Edwardowi zostać dłużej na dole, bo wiedziała, jak bardzo brakuje mu kontaktu z dorosłym mężczyzną i nie chciała przerywać ich rozmowy. Na górze szybko wykapała i utuliła do snu młodsze dzieci. Wróciła, by posprzątać i położyć prezenty, ale anielski chłopięcy sopran zatrzymał ją w miejscu.

Początkowo nie domyśliła się, że to śpiew młodego Jake'a, lecz to jej nie zdziwiło. Kiedy dołączył do kolędników, było jasne, że ma dobrze szkolony głos - głęboki, ciepły, o szerokiej skali. Zrobił na niej kolosalne wrażenie - zarówno dzisiejszy dorosły głos mężczyzny, jak ten dziecięcy sopran.

Rozmawiał z Edwardem poważnie, traktując go jak równego sobie, zachęcając go i robiąc mu nadzieję.

Zbyt wielką nadzieję. To nie ma sensu. Nie stać jej będzie na naukę śpiewu dla syna. To okrutne ze strony Jake'a - wystawiać małego na stracone złudzenia. Wszystko wydaje się łatwe, gdy się ma pieniądze. Musi to ukrócić, powiedzieć gospodarzowi, by nie wtykał nosa w jej sprawy.

Przemknęła niepostrzeżenie do kuchni, opanowała się trochę, sprzątnęła po kolacji i wreszcie zaniósła podarunki dla dzieci do salonu - kilka drobiazgów, które dla nich ku-

piła, upominki od Kate, wreszcie kosztowne prezenty od jej siostry. Znajdowały się tam kolorowe paczuszki, których wcześniej nie było.

Widocznie prezenty dla Jake'a, pomyślała. Skoro nie ma rodziny, to od przyjaciół, takich jak Kate.

Wcale nie. Zerknęła na podpisy i stwierdziła, że są dla dzieci i dla niej, był nawet prezent dla Rufusa. Wzruszyła się, ale i rozgniewała.

Dlaczego Jake to robi? Wydaje na nich pieniądze, nie zastanawiając się nad tym, jak ciężko jest jej przyjąć taką hojność, o ile trudniej będzie wylądować znowu na bruku. Rozpuszcza nawet psa.

- Amelio?

- Co to jest? Nie powinieneś...

- To drobiazg, zupełnie nic - zaprotestował Jake.

- Wcale nie. Może to drobiazg dla ciebie, ale chyba nie rozumiesz, w jakim jestem położeniu. Nie mam nic, dosłownie nic. Nie mam domu dla dzieci. Musiałam zabrać syna ze szkoły na kilka dni przed koncertem, do którego się przygotowywał przez długie tygodnie. Kręcę i kłamie, żeby im nie powiedzieć, że tata jest bankrutem i uciekł z kraju, bo ścigają go wierzyciele. Ale przecież nie mogę powiedzieć im prawdy, bo to złamałoby im serca. Jestem tym wszystkim śmiertelnie zmęczona. Ostatnie, czego mi trzeba, to te mrzonki o szkolnym chórze, którymi nabijasz głowę Edwardowi. Nie będzie mnie stać na naukę śpiewu. Nie chcę, żeby się rozczarował kolejny raz.

Teraz już płakała zupełnie otwarcie. Delikatnie położył jej rękę na ramieniu i próbował pocieszyć.

- Amelio, Millie, daj spokój. Nie kreślę przed nim miraży. Twój syn naprawdę ma talent. Jest wiele miejsc...

- Nie usłyszałeś ani słowa z tego, co powiedziałam? Nie mamy pieniędzy! - rozłościła się.

- Niepotrzebne ci pieniądze. Edward może się starać o stypendium, tak jak ja. Moi rodzice nie płacili za lekcje śpiewu. Talent jest szczególnym darem, nie wolno go zmarnować. To nawet nie musi być szkolny chór. Nie twierdzę, że to, co było dobre dla mnie,

jest rozwiązaniem dla wszystkich. Trzeba bardzo dużo ćwiczyć, nie ma wolnego czasu w niedziele i święta, to jest poważne obciążenie, nie dla każdego.

- Nawet gdyby Edward świetnie się spisywał w chórze, nie zapominaj, że to mój syn. Nie masz tu nic do powiedzenia! Nie masz prawa nabijać mu głowy nierealnymi marzeniami...

- Amelio, poczekaj, to nie było tak. Pytał mnie... Myślałem tylko...

- Więc tego nie rób. Jeśli chcesz mieć syna, naśladowcę i dziedzica, zrób sobie własnego, ale mojego zostaw w spokoju! I nie zasypuj nas prezentami!

Nie dała mu szansy na odpowiedź, zerwała się i pobiegła do kuchni, trzęsąc się ze złości - na niego i przede wszystkim na siebie. Tyle dla nich zrobił, tyle miłych słów powiedział, tak się wykosztował dla zwykłych intruzów w jego domu! Stanął na rzesach, by mieli prawdziwe święta - a ona to wszystko popsowała...

T L R

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jeśli chcesz mieć syna...

Nogi ugięły się pod nim. Usiadł gwałtownie na dywaniku przed choinką. Jej słowa ciągle dźwięczały mu w uszach. Nie przyszło mu do głowy, że wyrządza Edwardowi krzywdę tamtą rozmową i pokazaniem mu nagrania.

On tylko dzielił się z chłopcem swoim zamiłowaniem do śpiewu, okazywał mu zainteresowanie, i wcale nie dlatego, że chciałby mieć syna, który pójdzie w jego ślady. Już miał syna, snuł różne plany na przyszłość, a potem wszystko stracił. Czy Amelii się wydaje, że on nie wie, co znaczy nie mieć nic? Cóż, zdziwiłaby się, jak dobrze to rozumie.

Nie mieć nic - to znaczy budzić się każdego ranka samotnie, bez ukochanej kobiety, z którą mógłby się podzielić myślami i przeżyciami, z którą chciałby realizować marzenia, bez tej wyjątkowej kobiety, którą kochał i która kochała jego.

Nie mieć nic - to znaczy stać samotnie na cmentarzu, wpatrując się w kamień nagrobny, na którym widnieją imiona dwóch najdroższych na świecie osób, i zastanawiać się, jak to się mogło stać, że oboje w jednej chwili zostali mu odebrani na zawsze.

Jeśli chcesz mieć syna...

Przeszył go nieznośny ból. Och, Ben, chcę ciebie i tylko ciebie. Tęsknię za tobą każdego dnia. Jaki byś był? Czy kochałbyś śpiewać, jak ja, czy nie miałbyś słuchu, jak twoja mama? Wysoki czy niski? Spokojny czy hałaśliwy? Kochałbym cię, synku, tak czy siak. Zawsze będę cię kochać. Za oknem zobaczył białe płatki śniegu. Poczuł skurcz serca. Czy jest ci zimno dzisiaj w nocy, mój syneczku, gdy leżysz na cmentarzu daleko stąd?

Boże miłosierny.

Zebrało mu się na płacz, ale się powstrzymał, nie chcąc pograżyć się w rozpacz. Amelia nie zamierzała go urazić. Nie wie o Benie, nie miała pojęcia, że rani go każdym słowem. A może miała trochę racji. Może w rozmowie z Edwardem przekroczył niepiśnaną granicę.

Należy z nią porozmawiać, znaleźć ją i przeprosić. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw musi zapanować nad sobą, poczekać, aż ból odrobinę zelżeje.

I wtedy zdał sobie sprawę, że Rufus stoi tuż obok, niepewny, czy nie zostanie odpędzony. Kiedy wyciągnął do niego rękę, pies zamerdał lekko ogonem.

- Och, Rufusie. Co się z nami wszystkimi stało? - wyszeptał.

Piesek podszedł i oparł się o udo Jake'a, położył mu łeb na kolanie i polizał rękę.

- Tak, wiem. Muszę porozmawiać z Amelią. Muszę przeprosić. Ale nie mogę...

Przygryzł wargi. Rufus polizał go znowu, a Jake pogłaskał kudłate futerko i pomału się uspokoił. Był winny Amelii więcej niż przeprosiny. Należą jej się wyjaśnienia, a to oznacza konieczność otwartego mówienia o swoich uczuciach, czego do tej pory udawało mu się unikać. To było dla niego za trudne.

W końcu nie mógł dłużej usiedzieć w miejscu, więc podniósł się, znalazł whisky i przeszedł aż do jadalni. Pchnął drzwi. Amelia siedziała skulona przed kominkiem. Był pewien, że płakała, bo oczy miała podpuchnięte. Rozlał whisky do szklanek i wręczył jej jedną z nich.

- Przepraszam. Powinienem był cię spytać o zgodę.

- Nie zrobiłeś nic złego. Po prostu byłeś miły. To ja zachowałam się niewybaczalnie. Odplaciłam ci czarną niewdzięcznością.

- Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę twoje dotychczasowe doświadczenia. Bronisz swoich dzieci, nie mogę ci mieć tego za złe. - I dodał pośpiesznie, zanim opuściła go odwaga. - Miałem syna.

- Słucham? Miałeś syna? - powtórzyła, nie dowierzając własnym uszom.

- Miał na imię Ben. Umarł na dzień przed wigilią, miesiąc po swoich drugich urodzinach. Wczoraj minęło dokładnie pięć lat. Moja żona Rachel wzięła go ze sobą na zakupy świąteczne. Potrafił ich pijany kierowca. Oboje zginęli na miejscu.

- Och, Jake - wyszeptała. Drogi Boże, co ona mu nagadała? Jeśli chcesz mieć syna, zrób sobie własnego. Przykryła dłonią usta, uświadamiając sobie, jak okrutne były jej bezmyślne słowa. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Więc nic nie mów. Słowa niczego nie zmieniają. Masz, napij się. I proszę, nie rób mi wyrzutów o prezenty, to naprawdę nie problem. To tylko gest, nic więcej. Nie są kosztowne, słowo, nie czuj się skrepowana. Nie zrobiłbym ci tego. Po prostu... są święta i chciałbym je uprzyjemnić dzieciom. I obiecuję nie poruszać żadnych drażliwych tema-

tów. Napijmy się, a potem trzeba się zabrać za nadziewanie indyka, inaczej będziemy jedli o północy.

Odetchnęła, pociągnęła nosem i potarła policzki.

- Masz rację. Mamy dużo do zrobienia. - Więcej nic nie wykrztusi, bo znowu zaczęła płakać. Whisky paliła w gardle, ale przyjemnie rozgrzewała, a groza, jaką odczuła, słuchając jego wyznania, stała się łatwiejsza do zniesienia.

Nic dziwnego, że unikał dzieci. Nic dziwnego, że nie był uradowany, gdy w rocznicę tego koszmaru zobaczył w swoim domu wesołą gromadkę...

Kolejny łyk i znowu ogień w gardle. Co on czuł, gdy po powrocie do domu zastał w środku ją z dziećmi? Jego słowa były okrutne, ale nie tak okrutne, jak ich obecność w tym szczególnym dniu. A jej własne słowa, bezduszne i podłe? Wiele by dała, żeby je cofnąć.

- To, co powiedziałam...

- Przestań. Nie wracaj do tego, Amelio. Nie wiedziałaś. Zapomnij.

Ale nie mogła, nigdy sobie tego nie daruje. Nie mogła sobie wybaczyć, że zadała mu ból, że sama ich obecność musi rozdrapywać rany. I nic nie da się naprawić. Słowa padły, dzieci śpią na górze. Jedyne, co jest w jej mocy, to zadbać, by święta minęły bez zgrzytów.

- Poradzę sobie. - Odstawiła szklankę i skierowała się do kuchni.

- Nie skończyliśmy dekoracji - zauważył za jej plecami. Oboje przyjrzeni się krytycznie trochę uschniętym girlandom na żyrandolu nad stołem.

- Przepraszam, miałam je zdjąć. - Wskoczyła na krzesło, ale Jake pokręcił głową.

- Nie, zostaw. Dzieci je zrobiły.

Zatrzymała się z jedną stopą na krześle, a drugą na stole. Spojrzała na niego.

- Ale... sam mówiłeś, że to śmieci.

- Nie zastanawiałem się nad tym, co mówię, przepraszam. To efekt zaskoczenia. - Jeśli można tak nazwać to, co wtedy czuł. - Proszę, zostaw je. Czy nie było ich więcej?

- Edward wyniósł je na dwór - przyznała.

- Przynieś wasze dekoracje z powrotem i zawieś. Skończ, co zaczęliście. Ja powieszę wieniec na drzwiach wejściowych. Pomogę ci w tym, czego nie dasz rady zrobić sa-

ma, a potem muszę się położyć. Prawdę mówiąc, jestem wykończony. To był długi dzień.

Znowu poczuła się winna.

- Usiądź, Jake. Przyniosę ci kolejnego drinka. Zrobię wszystko sama. Jeśli masz ochotę pomóc, wystarczy, że dotrzymasz mi towarzystwa. Jeżeli nie, to idź do łóżka. Dam radę.

- W to nie wątpię - uśmiechnął się krzywo. - Mam wrażenie, że nie ma takiej rzeczy, której byś nie dała rady.

Pomógł jej mimo zmęczenia. Najwyraźniej nie zwykł się poddawać. Skończyli przystrajać dom, potem Jake pił herbatę, a ona zajęła się nadziewaniem indyka i zawijaniem kielbasek w boczek. Kiedy na niego spojrzała, drzemał przed kominkiem z Rufusem na kolanach. Przygotowała blachę babeczek bakaliowych, obrała ziemniaki i marchewki. Wreszcie go obudziła i posłała do łóżka.

Już prawie Boże Narodzenie, pomyślała, gdy zakradła się do pokoju dzieci i zawieszała skarpety na poręczy ich łóżek. Niewiele w nich było, ale dzieci rozumieją. Dzięki Jake'owi mogła do nich włożyć pomarańcze, czekoladki i troszkę różnych drobiazgów.

Jakie to szczęście, że jej dzieci są żywe i zdrowe. W przeciwieństwie do synka Jake'a.

Popatrzyła na Edwarda. Gdyby Ben żył, byłby niewiele młodszy od jej syna. Co za okropne uczucie. W jaki sposób Jake sobie radzi z taką stratą?

Oczy zaszły jej łzami, delikatnie pocałowała synka w policzek, opatuliła go kołdrą, potem podeszła do Kitty, a następnie zajrzała do Thomasa. Nie zostawiła mu skarpety, ale miał dopiero osiem miesięcy i nie wiedział, czym są święta. Najważniejsze, że jest w ciepłym i wygodnym domu.

Cała ich czwórka miała szczęście. Gdyby nie Jake, ich sytuacja nie wyglądałaby różowo. Tyle dla nich zrobił, a ona odpłaciła mu czarną niewdzięcznością...

Jeśli chcesz mieć syna...

Nie da się cofnąć tamtych słów, ale zrobi wszystko, by naprawić sytuację. Nie uda jej się odpłacić mu za całe dobro, którego od niego zaznali. Ale przynajmniej urządzi Jake'owi święta, których nie zapomni...

- Mamusiu! Mamusiu! Pada śnieg!

Otworzyła oczy. Nadal było ciemno, jedynie smużka bladego światła przedostała się przez szparę między zasłonami.

- Kitty, która godzina? - wyszeptała.

- Prawie szósta. Mamusiu, wstań i zobacz! Jest tak ślicznie!

Rzeczywiście, ogród przykryty był grubą warstwą śniegu, nieskazitelnie białego i skrzącego się w świetle księżyca. Która może być godzina? Jej dzieci nie powinny budzić gospodarza w środku nocy.

Niespokojnie rzuciła okiem na zegarek.

- Kitty, dopiero wpół do szóstej!

- Na pewno jest później. Czekałam cichutko! Mamy skarpety z prezentami! Chodź i zobacz!

- Czy Edward się obudził?

- Oczywiście - potwierdził jej zaspany, potargany syn, wchodząc do pokoju. - Kitty gadała przez pół nocy! Wesołych świąt, mamusiu. - Przytulił się do niej mocno.

Pocałowała go w czubek głowy. Wkrótce wyrośnie i przestanie pozwalać na takie czułości. Podniosła Kitty i ją również pocałowała. Zaprowadziła ich do sypialni i zamknęła drzwi, żeby stłumić hałas.

Dziewczynka nie była w stanie usiedzieć w miejscu.

- Czy możemy zobaczyć prezenty? - zapytała.

- Tylko w skarpetach - zgodziła się z ociąganiem Amelia. - Pod choinkę zajrzemy później!

- Są prezenty pod choinką? Widziałaś je? - Kitty nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu.

- Myślę, że tak. - Chyba że ukradli je włamywacze. - Nie możesz teraz zejść na dół. Obudziłabyś Jake'a.

A na to z pewnością nie pozwoli.

- To kiedy? - wierciła jej dziurę w brzuchu Kitty.

- O ósmej trzydzieści, jeśli Jake do tego czasu wstanie. Ale jeżeli to wy go obudziecie, będziecie musieli czekać do dziesiątej - zagroziła bardzo poważnym głosem.

- Do dziesiątej? - jęknęła dziewczynka. - Będę cicho jak myszka. Edward, nie hałasuj !

- Przecież nic nie powiedziałem! - wyszeptał oburzony, wchodząc na łóżko i wkładając rękę do skarpety. - To ty hałasujesz.

- Przestańcie, bo skarpety znikną.

Zapadła cisza, przerywana przez cichutkie piski zachwytu Kitty i wyszeptane przez Edwarda: „Super!”, kiedy znalazł pamiętnik. Uśmiechnął się do matki szeroko. Od odejścia Davida Edward codziennie notował w zeszycie swoje przeżycia. Był to dla niego sposób na radzenie sobie z emocjami.

To taki dobry dzieciak. Jake ma rację, zasługuje na swoją szansę. Poszuka dla niego chóru, załatwi mu przesłuchanie, jednak powie mu o swojej decyzji dopiero wtedy, gdy będzie wiedziała coś konkretnego. Nie będzie składać synkowi obietnic bez pokrycia.

- Czekoladowy mikołaj! - cieszyła się Kitty. - I mandarynka! Czy mogę je teraz zjeść?

Z przyjemnością patrzyła, jak jej dzieci cieszą się najprostszymi rzeczami. Edward metodycznie obierał pomarańczę, delektując się każdym kawałkiem. Jest taki dokładny, skrupulatny we wszystkim, co robi. Nie tak jak jego ojciec, który działa bez zastanowienia, a potem ucieka. Przed małżeństwem. Przed ojcostwem.

Nie, nie będzie o tym teraz myśleć. Poszła po Thomasa, który kręcił się w swoim łóżeczku, i wzięła go na rękę.

- Dzień dobry, mój mały mężczyzno. Wesołych świąt. Spójrz, pada śnieg!

Wyrzała do ogrodu. Jake zdążył już wyprowadzić Rufusa na spacer. Psiak szczełkał, kręcił się w kółko i usiłował zjadać spadające płatki śniegu.

- Jake już wstał - oznajmiła dzieciom dobrą nowinę.

- W takim razie trzeba mu życzyć wesołych świąt! - Małe nóżki Kitty już łomotały na schodach. Edward popędził za nią. Dzieci napełniły cały dom śmiechem i wrzawą. Oby tylko Jake dobrze zniósł ich wylewną serdeczność.

Cień jego smutku przyćmił na chwilę radość dnia. Pomyślała o małym chłopcu, którego nie знаła i nigdy nie pozna, i o kobiecie, która każdego ranka mogła witać całusem swego męża i synka.

- Tak mi przykro - wyszeptwała. - Tak bardzo, bardzo przykro.

Na dworze był mróz, ale wydeptywanie śladów w świeżym śniegu i szaleńcze skoki psa, który zachowywał się jak szczeniak i gonił spadające płatki, napełniły go niespodziewanym optymizmem.

W domu wpadły na niego dzieci. Ich oczy lśniły z podniecenia.

- Jesteś cały w śniegu! - zaszcebiotała Kitty. - Jak bałwan! Możemy ulepić bałwana?

Podskakiwała jak piłka, a jej entuzjazm był tak zaraźliwy, że roześmiał się szeroko.

- Oczywiście. Pierwszy śnieg jest najlepszy do lepienia kul. Możemy razem zrobić bałwana, jeżeli tylko wasza mama się na to zgodzi. Ale najpierw śniadanie i prezenty.

Spojrzał na nią pytająco i ogarnęło go ciepło na widok jej serdecznego uśmiechu.

- Jasne, że się zgadzam. Będzie wesoło.

- Możemy ulepić naprawdę dużego? - upewniał się Edward, a Jake z rozczuleniem patrzył na radosne podniecenie poważnego zazwyczaj chłopczyka.

- Największego.

- Na świecie? - spytała Kitty, wytrzeszczając oczy.

Zaśmiał się.

- Cóż... może niezupełnie.

- Będzie potrzebował kapelusza.

- Mogę mu pożyczyć czapkę narciarską - zaproponował Jake. - I szalik.

- Potrzebujemy węgielków na oczy i marchewki na nos... Mamusiu, czy mamy marchewkę?

- Kitty, uspokój się! - śmiała się Amelia, unosząc ręce do góry w geście „poddaję się i róbcie, co chcecie”.

- Tak, mamy marchewki. Przecież widziałas, jak je kupowałam.

- To świetnie! A możemy otworzyć prezenty? Jake już wstał. Czy możemy to zrobić teraz? Potem się ubierzemy i zrobimy naszego bałwana.

- Jeszcze jest za wcześnie - interweniował Jake. - Pozwól mamie wypić herbatę i nakarmić dziecko. A może - kontynuował, widząc, że spuścili nosy na kwintę - spróbujecie zgadnąć, co jest w tych wszystkich pięknie opakowanych paczkach? Zaraz do was dołączymy.

Gdy dzieci popędziły do salonu, Jake i Amelia spojrzeli na siebie i obydwójce zachichotali.

- Dzieci - powiedział, a ona przytaknęła z melancholijnym uśmiechem.

Zrozumiał, że ten delikatny wyraz smutku gości na jej twarzy z jego powodu, i nagle zapragnął ją przytulić. Chciałby ją rozpakować z rozciągniętego starego swetra i śmiesznej piżamy w kotki, jakby była jego własnym świątecznym prezentem.

- To co z herbatą? - odchrząknął nerwowo.

- Już się parzy. Czemu tak wcześnie wstałeś?

- Chciało mi się pić. Wypuszczałem psa.

- Przepraszam, nie usłyszałam go.

- Bo nie hałasował. Sam się obudziłem i chciałem zobaczyć śnieg.

- Zaskoczyłeś mnie. Nie pomyślałabym, że po tym wszystkim jeszcze lubisz śnieżne krajobrazy.

- Lawinę spowodował jakiś idiota, który jechał po stoku nade mną. To on podciął nawis. Byliśmy poza nartostradą. Gdybym nie miał ze sobą plecaka z poduszkami powietrznymi, które utrzymują narciarza na powierzchni, skończyłoby się dużo gorzej. To nie wina śniegu, tylko ignorancji człowieka. A w naszej części kraju rzadko mamy białe święta. Zresztą byłem na nogach już od rana.

- Nie mogłeś spać?

- Wręcz przeciwnie. Bałem się, że nie zasnę, tymczasem spałem jak zabity. Dawno mi się to nie zdarzyło.

- Zapewne dzięki whisky.

- Może - zgodził się, ale wiedział, że to nieprawda.

Kojące ciepło wypełniło jego dom - ludzkie ciepło, płynące z obecności pod tym wiekowym dachem prawdziwej rodziny.

- Butelka dla dziecka chłodzi się w zlewie - powiedział, podając jej herbatę.

- Jesteś prawdziwym skarbem, dziękuję. Nie musiałeś tego robić.

- Wiedziałem, że mały niedługo się obudzi. Zrobiłem mleko zgodnie z instrukcją, mam nadzieję, że jest dobre, choć ciągle może być trochę za gorące.

- Nie, jest w sam raz. - Posłała mu uśmiech, który uderzał do głowy.

A niech to. Wczoraj była jak tygrysica, a dzisiaj jest uosobieniem seksu.

- Ile czasu piecze się indyk?

- Cztery godziny w umiarkowanej temperaturze.

- To znaczy? - spytał, rozśmieszając ją samym pytaniem.

Jej śmiech połaskotał go jak drażniący dotyk opuszków palców.

- To znaczy ani za wysokiej, ani za niskiej. Zdąży się upiec. Mamy dużo czasu. Może pójdziemy sprawdzić, co robią dzieci, zanim „niechący” zdejmą opakowania?

Parsknął śmiechem i poszedł za nią. Pies truchtał między nimi, niezdecydowany, czy powinien iść przy pani, który go karmiła i kochała, czy za nowym przyjacielem, który wyprowadził go na dwór do tego magicznego białego pyłu i się z nim bawił. Jake zdał sobie sprawę, że dzień, którego się obawiał jak najgorszego koszmaru, zapowiada się całkiem miło.

I to niespodziewane poczucie przyjemności było najwspanialszym prezentem świątecznym.

Jego prezenty okazały się doskonałe.

Choć proste, były przemyślane i pieczołowicie dobrane. Od Laury Amelia dostała drogie rzeczy, które sprawiły, że poczuła się nieudacznicą, a od Kate słodkie, ręcznie robione przez Megan drobiazgi dla dzieci i frywolne koronkowe figi dla niej, na poprawę humoru. Oczywiście, gdy tylko wyciągnęła te seksowne majtki, zaczerwieniła się zawstydzona i szybko schowała je do kieszeni.

Ona sama podarowała dzieciom rzeczy, których potrzebowały. Nie miała pieniędzy na nic więcej. Ale od Jake'a dostały zabawki, co bardzo je uszczęśliwiło.

- Mamusiu, zobacz! To książeczka, którą bardzo chciałam dostać! - zawołała Kitty z roziskrzonymi oczami. Amelia napotkała spojrzenie Jake'a i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Tak, pamiętam. Uważaj z brokatem, bo roznosi się po całym pokoju. Co się mówi?

Ale nie musiała instruować córki, bo Kitty rzuciła się Jake'owi na szyję i przytuliła go z całej siły.

- Edwardzie, a ty co dostałeś? - spytała, widząc, jak synek metodycznie rozpakowuje swój prezent.

- Model do składania. Jest super! Bardzo skomplikowany. Dzięki, Jake! - Edward był bardziej powściągliwy, ale jego buzia promieniała zadowoleniem. Kolejny prezentowy strzał w dziesiątkę.

- Och, Thomas, spójrz tylko! - Podała najmłodszemu dziecku zabawkę.

Potrząsnął nią radośnie.

- Ota! - powiedział, wprawiając Jake'a w oszołomienie.

- On myśli, że to grzechotka - wyjaśnił Edward. - Popatrz, możesz to otworzyć i włożyć ten klocek do środka. Widzisz? To kwadrat!

Thomas patrzył zafascynowany, jak klocek gładko wpadł do środka, jakby to były czary. Jake zdawał się być tym równie zafascynowany, jak chłopczyk. Amelia poczuła, że jest niebezpiecznie bliska rozklejenia się, więc zajrzała ponownie pod choinkę. Leżały tam jeszcze dwa prezenty. Kitty zanurkowała i je wyciągnęła.

- Ten jest dla Rufusa, a ten dla ciebie - oznajmiła, wręczając matce paczuszkę.

- Dla mnie? - zawstydziała się, bo nic dla niego nie miała.

- Otwórz. To drobiażdżek - zachęcał ją.

W środku znalazła rękawiczki bez palców i oczy jej się zaszkliły. Musiał jej uważnie słuchać, bo sama mu się skarżyła, że nie może nic zrobić na mrozie, gdyż rękawiczki utrudniają jej każdy ruch.

Znalazł rozwiązanie jej problemu - zabawne, zwariowane różowe mitenki z szalikiem do kompletu, miękkim i ciepłym. Teraz już nie udało jej się powstrzymać łez.

- Mamusia płacze - zaniepokoiła się Kitty, więc Amelia uśmiechnęła się i otarła oczy wierzchem dłoni.

- Wzruszyłam się, naprawdę. Dziękuję, Jake. Dziękuję ci za wszystko.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - A co z prezentem dla psa?

- Mam nadzieję, że to nie jedzenie.

- Sama zobacz - powiedział, podając jej paczuszkę.

- To kubraczek dla psa - wykrzyknęła, znowu na granicy łez. - Dziękuję. Rufus nienawidzi zimna i nie znosi deszczu. Ubranko jest śliczne.

I wtedy, ponieważ nie mogła się już powstrzymać, uściskała go mocno. Nie tak mocno jak Kitty, ostrożniej ze względu na siniaki, ale wystarczająco mocno, by odczuł, że naprawdę go lubi. Odwzajemnił uścisk, obejmując ją ciepłymi i silnymi ramionami. Tak łatwo byłoby zostać w tych objęciach do końca dnia.

Do końca życia.

Nie! Zerwała się na równe nogi, zawstydzona tą erupcją emocji.

- Teraz posprzątamy, potem migiem się ubieramy i jemy śniadanie. A potem musimy zrobić największego na świecie bałwana!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cóż za magiczny dzień.

Wszyscy poszli na górę, żeby umyć się i ubrać. Jake zawołał Amelię i poprosił o pomoc.

- Mógłbym wziąć prysznic, ale nie chcę zamoczyć gipsu. Owinęłabyś mi rękę folią?

- Oczywiście. - Posadziła Thomasa na podłodze.

Wręczył jej folię i plastry, zrzucił szlafrok, więc stanął przed nią tylko w bokserkach. Serce zabiło jej szybciej, ale zaraz zauważyła jego siniaki i jak dobra siostra miłośrdzia zapomniała o tym, że stoi przed nią półnagi mężczyzna.

- Na miłość boską, Jake, jesteś czarno-niebieski!

- Czuję się tak, jak wyglądam, ale żyję, a mogło być gorzej. - Uśmiechnął się krzywo: - Będzie dobrze.

Nie przekonał jej. Zabezpieczyła gips i cofnęła się, odwracając wzrok. Jednak pokusa była silniejsza, więc zerknęła spod rzęs na muskularną klatkę piersiową z ciemnymi włosami, długie nogi z imponującymi mięśniami ud i równie efektownymi siniakami.

- Poradzisz sobie? - zapytała, starając się odgrywać profesjonalną pielęgniarkę, co najwyraźniej jej się nie udało, bo sarkastycznie uniósł prawą brew.

- Chcesz mi umyć plecy? - zaproponował prowokującym tonem.

- Zastanowię się. - Wzięła niemowlaka na ręce i uciekła na górę.

Zajęła się dziećmi - mycie, ubieranie, przygotowanie śniadania, ukołysanie Thomasa do południowej drzemki, zwykła codzienna krzątania. Wreszcie wszyscy włożyli ciepłe kurtki i wyszli na śnieg.

Zrobili ogromnego bałwana - może nie największego na świecie, ale pokaźnych rozmiarów. Jake znalazł dla niego starą czapkę narciarską i szalik. Następnie zrobili nalot na lodówkę w celu znalezienia marchewki. Zrobili oczy nie z węgielków, a z kielków - bo jak stwierdziła Kitty, są zbyt niesmaczne, by je zjeść. Edward znalazł korzeń w kształcie fajki i wetknął go w usta bałwana.

Kiedy już skończyli, zostawili swoje dzieło na wprost okien jadalni, by je podziwiać podczas wszystkich posiłków. Rozwiesili kurtki w kotłowni, tam wyschną najszybciej, i zasiedli przed ogniem w salonie, by się rozgrzać i obejrzeć film.

Amelia krążyła między salonem a kuchnią, upewniając się, czy nic się nie przypala i nie kipi, czy każda czynność odbywa się we właściwym czasie i kolejności, jakby to była operacja wojskowa, a nie świąteczny obiad. Jednocześnie nakrywała do stołu w jadalni zwanej pokojem śniadaniowym, bo - jak twierdził Jake - główna jadalnia jest zbyt oficjalna, aby się w niej dobrze bawić.

Amelia przyjęła to z ulgą, bo zapadłaby się pod ziemię, gdyby w tym eleganckim pomieszczeniu Thomas zaczął rozrzucać jedzenie, a Kitty „przypadkowo” straciła groszek z krawędzi talerza, tak aby pies go znalazł. Zresztą, duża jadalnia była za daleko od kuchni.

Udekorowała stół długimi cukierkami owiniętymi w kolorowe papierki, rozłożyła przy każdym nakryciu sztucze i wesołe czerwono-zielone serwetki z reniferem. Pośrodku, na czerwonym talerzu, ustawiła dużą białą świecę, którą kupili w supermarkecie. Pomiedzy nakrywaniem do stołu a doglądaniem posiłku sprawdzała, jak się miewa jej rodzinka. Za pierwszym razem przysiadła na chwilę obok Edwarda - maluch bawił się na kanapie między starszym bratem a ich gospodarzem, a Kitty wdrapała się mężczyźnie na kolana i stąd oglądała film, ssąc kciuk. Za drugim razem Jake miał na kolanach Thomasa, który podskakiwał na jego udzie i starał się wdrapać na oparcie kanapy.

- Myślę, że jest znudzony - skomentował stoicko spokojny Jake.

Thomas spojrział na matkę, rozpromienił się i uniosł rączki do góry, więc go podniosła i przytuliła.

- Znudzony i głodny.

- Czy już czas na obiad? - spytała z nadzieją w głosie Kitty. - Ja też jestem głodna!

- Już prawie gotowe.

- Mogę ci pomóc?

Czy da radę doprawiać, dekorować i nakładać potrawy, gdy tuż obok jest mężczyzna, którego ciało może sobie wyobrazić aż nazbyt dobrze?

Prawie się zaśmiała. Co jej przychodzi do głowy? Kuchnia jest wielka, przestronna, jednak dzisiaj rano, kiedy on robił herbatę, a ona karmiła dziecko, ubrana w swoją śmieszna piżamę w kotki, sprawiała wrażenie przytulnego pomieszczenia o intymnej atmosferze. Jake w szlafroku, obsypanym topniejącymi płatkami śniegu, wilgotne kosmyki włosów i te intrygująco seksowne białe stopy na kafelkach podłogi.

I teraz, kiedy wie, co kryje się pod tym szlafrokiem, będzie jeszcze trudniej o tym nie myśleć...

- Nie wiem, w czym mógłbyś się przydać - powiedziała, a on mimo to podążył za nią.

Posługiwał się tylko jedną ręką, jednak okazał się bardzo użyteczny. Pomógł wyciągnąć indyka z pieca, zabawiał Thomasa, kiedy przygotowywała mu butlę, a potem karmił chłopca, podczas gdy ona robiła sos i wykladała potrawy na duże półmiski.

- Obiad! - zawołała, a dzieci w mgnieniu oka zjawiły się w jadalni.

- Och, jak pięknie! - entuzjasmowała się Kitty.

Jake zapalił świeczkę, a Amelia triumfalnie wniosła pieczonego ptaka. Teraz wiedziała, jak czuła się matka małego Tima, gdy Scrooge podarował im indyka na Boże Narodzenie.

Jedzenie było przepyszne, dzieciaki nałożyły sobie duże porcje, a chociaż wszyscy jedli, aż im się uszy trzęsły, nadal zostało wystarczająco dużo, by wykarmić armię.

- Mam nadzieję, że potrafisz wyczarować różne potrawy z resztek - mruknął Jake, gdy odnosił półmiski do kuchni. Rozśmieszył ją.

- Och, tak. Potrafię ugotować zupę z gwoździa. Czy masz trochę brandy do pudingu?

- Mam. I ostrokrzew. Zebrałem dzisiaj rano. Proszę.

Zgasił światło, a ona wniosła płonący pudding przy blasku świec, wprawiając dzieci w zachwyty. Potem, kiedy już nie mogli wcisnąć w siebie ani kęsa, posprzątała ze stołu i włożyła suche ciepłe płaszcze. Wyszli z powrotem na spacer do ogrodu, z Rufusem w jego kubraczku w szkocką kratę. Kiedy dzieci się wyszalały i spaliły kalorie, a dorośli przeszli odległość aż do lasu i z powrotem, uznali, że najwyższa pora wrócić do domu.

I wtedy Kitty zatrzymała się na środku pokrytego śnieżną pierzynką trawnika.

- Musimy zrobić śnieżne anioły!

- Śnieżne anioły? - spytał Jake dziwnym głosem.

Millie spojrzała na niego zaniepokojona. Czy to kolejne bolesne wspomnienie?

- Tak, my wszyscy! Jake, jesteś największy, możesz być aniołem tatą!

Dziewczynka zignorowała opór Jake'a, pociągnęła go za rękę, więc się położył. Ułożyła się obok niego z rozpostartymi rękami i nogami. Zaczęła nimi przesuwać w górę i w dół, jak pajacyk pociągany za sznurek. Potem wstała, a Jake za nią.

- Spójrz! Jesteś taki duży! - roześmiała się. - Mamusiu, połóż się z drugiej strony, a potem Edward, i Thomas też!

- Thomas jest za mały, kochanie. Nie rozumie.

- Więc Jake go potrzyma, kiedy ty i Edward będziecie robić śnieżne anioły - upierała się dziewczynka.

- Wezmę go. - Posadził sobie małego na biodrze, podobnie jak wcześniej Amelia, tymczasem ona z synkiem odciskali skrzydlate kształty w śniegu.

Potem odebrała od niego dziecko i wreszcie wrócili do domu. Zrzucili ubrania, tym razem kompletnie przemoczone, i poszli na górę się przebrać.

- Hej, dzieciaki, chodźcie i spójrzcie - zawołał Jake ze swojego pokoju. Z okna na pierwszym piętrze widać było rząd śnieżnych aniołów.

- Jakie piękne! - zachwyciła się Kitty. - Zrób zdjęcie.

Wyjął więc komórkę i pstryknął zdjęcie z góry. Potem wyszedł do ogrodu i zrobił kolejne zdjęcie, tym razem bałwana.

Amelia zabrała się za sprzątanie; załadowała zmywarke i włączyła ją, umyła garnki. Dzieci w tym czasie wyciągnęły swoje zabawki. Kitty kolorowała obrazki, ozdabiając je kolorowym brokatem. Edward posortował i rozłożył małe części swojego zestawu do składania. Był skomplikowany, dużo trudniejszy niż cokolwiek, z czym miał do tej pory do czynienia, ale Amelia była pewna, że sobie poradzi.

Jake jest mądrym człowiekiem. Dostrzegł, że jej syn jest bardzo uzdolniony, i to pod różnymi względami. Ciekawe, że jego ojciec nie umiał go docenić - widział w nim tylko małego milczka, który nie ma nic ciekawego do powiedzenia.

Tymczasem Jake usiadł z chłopcem i obaj pochylili się nad modelem. Razem czytali instrukcję. Czasem mężczyzna mówił po prostu: „To chyba pasuje tutaj” i podawał Edwardowi brakującą część. Nie dominował nad nim, nie próbował pokazać dziecku, że jest głupie i do niczego się nie nadaje. Służył mu radą i prostował jego błędy.

Amelia widziała, jak jej syn chłonie każdą pochwałę, jak się cieszy skupioną na nim uwagą dorosłego i zaczęła się lękać dnia, gdy się stąd wyprowadzą, a Edward utraci człowieka, na którego zaczyna patrzeć jak na swego zastępczego ojca.

- To był mój najlepszy dzień - rozmarzył się chłopiec wieczorem. - Jake jest super.

- Jest bardzo miły - przyznała. Jak ma zdjąć go z piedestału i nie zranić przy tym własnego dziecka? - Boję się tylko, że mu zawadzamy.

- Wcale nie. Nie okazuje tego.

- Jest szlachetnym człowiekiem.

- Tak właśnie powiedziała Kate, że jest szlachetny. - Chłopiec wyciągnął się na łóżku, podkładając ręce pod głowę. - Wiesz, że śpiewał w chórze?

- Słyszałam, jak ci o tym opowiadał.

- Ciężka praca, ale nie oddałby tego za skarby świata. I mieszkał w internacie. Jego rodzice wciąż się kłócili, więc im tylko zawadzał. Czy tatuś właśnie dlatego odszedł? Bo mu zawadzaliśmy?

- Nie, kochanie. Odszedł, bo przestał mnie kochać.

Dzieci też nie kochał, ale tego już Edwardowi nie powie.

- Możemy jutro pobawić się w śniegu?

- Jeśli tylko nie stopnieje.

- Na pewno nie. Jake tak powiedział.

Gdy dzieci zasnęły, zeszła na dół ze swoim laptopem. Zamierzała przygotować CV dla agencji pośrednictwa pracy. Rozłożyła się w jadalni, by nie przeszkadzać Jake'owi, ale sam ją tam znalazł, proponując kieliszek wina i rozmowę.

Zjedli kanapki, wymienili uwagi na temat minionego dnia, wreszcie poprosił:

- Opowiedz mi o swojej pracy.

- Teraz nie mam żadnej - przypomniała mu. - Muszę rozesłać CV do kilku firm.

Masz może internet?

- Oczywiście. Możesz się do komputera nawet teraz. Chętnie ci pomogę.

Przeczytał uważnie jej życiorys.

- Można go poprawić - skomentował. - Musisz dać na początku coś, co przykuje uwagę potencjalnego pracodawcy. Na przykład zdjęcie. Pokażę ci coś.

Pokuśtykał do swojego gabinetu i wtedy uświadomiła sobie, ile go kosztował dzisiejszy dzień. Powinien leżeć w łóżku, a nie wyczytniać z dziećmi harce na śniegu.

Wrócił z własnym laptopem. Otworzył jakieś pliki, pokazał jej jeden z nich.

- To moje CV. Nie mogę ci pokazać innych, bo to by było naruszenie tajemnicy, ale i u mnie możesz zobaczyć czcionkę, podstawowe dane, wielkość zdjęcia.

Przeczytała, bardziej zainteresowana informacjami na jego temat niż formą dokumentu. Trzydzieści pięć lat - pięć lat starszy od niej; urodzony w Norwich; dyplomy z trzech kierunków - wszechstronnie wykształcony, ciekawe.

- Masz bardzo wysokie kwalifikacje.

- Ty też. Czemu właściwie nie możesz znaleźć pracy?

- Żartujesz? Kto zatrudni samotną matkę trójki dzieci? W dodatku jedno nie ma jeszcze roku.

- Na przykład ja. Potrzebuję tłumaczki, co prawda nie do tekstów technicznych, ale umów handlowych. Jakie znasz języki?

- Francuski, włoski, hiszpański i rosyjski.

- Chcesz spróbować? Dam ci trzy próbki.

- Oczywiście - ucieszyła się, chociaż powinna to poważnie przemyśleć.

Czy to rozsądne, wchodzić w bliższe relacje z mężczyzną, który tak łatwo podbił serca jej dzieci? Z mężczyzną, którego sama mogłaby pokochać.

Chyba oszalał! Wdarli się do jego domu, naruszyli jego prywatność, zajęli cały jego czas, potraktowali go jak członka własnej rodziny, a on, zamiast uciekać, gdzie pieprz rośnie, proponuje jej współpracę.

Jasne, chodzi o czysto profesjonalną relację, a większość kontaktów można utrzymywać przez internet, ale to do niego niepodobne.

Stanął jak wryty, gdy na schodach wpadł na Amelię. Miał wrażenie, że już poszła na górę.

- Dziękuję za dzisiejszy dzień - powiedział i wtedy zdał sobie sprawę, że mówi to z głębi serca.

- Nie, to ja dziękuję. Jesteś wspaniały, Jake. To najlepsze Boże Narodzenie, jakie pamiętam. Wszystko dzięki tobie. Jesteś moim bohaterem. - Wspięła się na palce i leciutko pocałowała go w usta.

Potem pobiegła na górę.

W sypialni otworzył walizkę, wyjął z niej szczątki zegarka i wraz ze zdjęciem schował w pudle z rzeczami Rachel w garderobie.

Czas wrócić do życia, powiedział sobie.

Z Amelią?

TLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Chyba czas wykąpać psa. Rozmawiamy o tym od paru dni, a wciąż nic w tej sprawie nie zrobiliśmy.

- Nie pachnie najlepiej - przyznała, powstrzymując uśmiech.

- Jest mokry i ubłocony po zabawie w śniegu, więc to najlepszy moment. Wysznie przy ogniu.

- Przyniosę szampon i napszczę wody do umywalki w pralni.

Nawet ona uznała, że kąpanie psa w kuchennym zlewozmywaku to przesada. Chwilę później dołączył do niej Jake ze stertą ręczników.

- Proszę, to stare ręczniki. Rufusowi się spodobają.

Były w dużo lepszym stanie niż jej najlepsze, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. Wstawiła spaniela do umywalki i zaczęła polewać plastikowym kubeczkim.

- Jest bardzo grzeczny - pochwalił psa Jake. - A przy okazji, rzuciłaś okiem na teksty, które ci dałem?

- Nie są skomplikowane. Przetłumaczę je, kiedy skończę go kąpać. - Namydliła sierść jeszcze raz, tym razem używając odżywki, by splątane kudły łatwiej się rozczesywały, po czym opłukała swego pupila i starannie go osuszyła. Wreszcie owinęła go w suchy ręcznik i posadziła przed paleniskiem.

- Masz grzebień? - spytał Jake.

- Czeszę go szczotką - wyjaśniła. - Niestety, nienawidzi tego. Trzęsie się cały i robi nieszczęśliwą minę.

- Co ta twoja pani z tobą wyprawia, biedaku - użalał się nad pieskiem Jake, a Rufus, który przypominał teraz zmokłą kure, z nadzieją zamachał ogonkiem, jakby oczekiwał, że jego bohater wyratuje go z opresji.

- Nie patrz na mnie tak błagalnie, mały. Szczotkowanie cię nie ominie - oznajmiła psu surowo, ale dała mu całusa w łebek na osłode.

Wkrótce cały nieprzyjemny zabieg dobiegł końca, a Rufus otrzepał się energicznie i najwyraźniej nabrał animuszu.

- Czas się zabrać za dokumenty. - Amelia spoważniała. - Mam je zrobić na moim komputerze?

- Tak by było najlepiej.

Rozłożyła pracę na stole, a Jake usiadł w fotelu przed kominkiem i delikatnie przeczesywał psie kudelki, by prędzej wyschły. Było miło i po domowemu. Można niemal uwierzyć, że tak będzie już zawsze.

Amelia skoncentrowała się na dokumentach i wkrótce oznajmiła:

- Skończyłam.

- Pierwszy tekst?

- Wszystkie trzy.

- Naprawdę?

Wyciągnął zrobione wcześniej tłumaczenia i porównywał je strona po stronie.

- Świetna robota - skomentował. - Twoje są znacznie lepsze. Dobra angielszczyzna, lepiej sformułowane, bardziej czytelne. Chcesz tę robotę?

- Nie wiem, co powiedzieć. To zależy, ile będę miała obowiązków i jak płacisz. - I jak będę się czuła, pracując dla ciebie, pomyślała.

- Płacimy normalnie, od ilości znaków. Nie pamiętam stawki, ale mogę zaręczyć, że jest przyzwoita. Do tego stałe honorarium za gotowość. W razie czego możemy negocjować. Jeśli chcesz, pójdziemy jutro do biura, przejrzę rachunki i podam ci więcej szczegółów. Może to niezły pomysł, dzieci mogłyby popływać w basenie. Świeci pustkami, chyba że ktoś z pracowników wpadnie z rodziną, ale tuż po świętach zajęci są innymi sprawami. Co o tym myślisz?

- Dzieci lubią pływać - odparła machinalnie. W tej chwili rozważała w myślach, jak przyjemnie by było mieć stałą część wynagrodzenia. W poprzedniej pracy całość była płatna od dzieła. - Ale nie mamy kostiumów - ocknęła się. - Upchnęłam je gdzieś z rzeczami oddanymi do magazynu. Nie przyszło mi do głowy, że mogą być potrzebne w zimie.

- Nieważne. Niech pływają w majtkach. Ty też. W końcu bikini składa się ze stanika i majtek. Obiecuję, że nie będę podglądać.

Zaczerwieniła się gwałtownie. Od wczorajszego pocałunku panowało między nimi dziwne napięcie. Nie była w stanie przestać o tym myśleć. Na Jake'u pocałunek wywarł podobne wrażenie, jednak nie próbował go powtórzyć, a ona z pewnością nie będzie go zachęcać.

Jej życie jest wystarczająco trudne. Romans z przyszłym pracodawcą dodatkowo by je skomplikował. Praca jest jej bardziej potrzebna niż seks.

W dodatku tego, co się między nimi narodziło, nie da się sprowadzić do szybkiego numerku ani nawet ognistego romansu. Jest w tym dużo czułości i niebezpiecznie przypomina miłość - słowo raz na zawsze wykreślone z jej słownika. Już raz się sparzyła na mężczyźnie bogatym, czarującym i bezwzględnym.

Oczywiście, Jake różni się od Davida. Nie popisuje się, nie stara się zwracać na siebie uwagi, ale z pewnością jest bardzo bogaty, a jakkolwiek okazał jej wiele serca, pewnie potrafi być bezlitosny i brutalny, gdy sytuacja tego wymaga. Tej pierwszej nocy miała okazję się o tym przekonać!

Oczywiście, ma wiele na swoje usprawiedliwienie. Był półprzytomny ze zmęczenia, obolały i trochę zdesperowany, gdy wpadł na intruzów, którzy naruszyli jego mir domowy.

To nie zmienia faktu, że ma w sobie pewną bezwzględność, która w połączeniu z siłą jest niepokojąca. David ze swoim egoizmem i brakiem empatii skrzywdził ją i dzieci tak bardzo, że już zawsze będzie patrzyła z podejrzliwością na przedsiębiorczych silnych mężczyzn.

- Hej! Ziemia do Amelii. Chyba to nie jest problem wymagający aż takiego namysłu?

- Nie rozumiem?

- Mówię o basenie.

Błądziła myślami tak daleko, że zapomniała, o czym rozmawiali.

- Przepraszam, zamyśliłam się. Jestem pewna, że dzieciom spodoba się ten pomysł. Ty chyba nie masz zamiaru pływać? Z gipsem? - A ona z pewnością nie będzie pływać w samej bieliźnie.

- Oczywiście, że nie, ale dla dzieci to będzie frajda. Chcę ci też pokazać biuro. Nawet jeśli nie będziesz tam pracowała, to mam nadzieję, że cię zainteresuje, jak je urządziliśmy.

Miała wielką ochotę. Interesowało ją wszystko, co ma z nim związek, a jednocześnie niepokoiło, jak bardzo stał się dla niej ważny w rekordowo krótkim czasie. Zgodziła się jednak. Przeważył argument, że w ten sposób wyrobi sobie zdanie na temat jego działalności i będzie mogła odpowiedzialnie podjąć decyzję w sprawie pracy.

Inną rzeczą, którą należałoby zrobić, jest przedyskutowanie tych planów z Kate, ale na to przyjdzie jeszcze czas.

Następnego dnia wszyscy zerwali się rano. Amelia pomogła Jake'owi owinać gips, by mógł wziąć prysznic, a sama przygotowała śniadanie. Potem poszli na spacer z nie-nagannie czyściutkim Rufusem ubranym w ekstrawagancki kubraczek. Zaraz za murem otaczającym kuchenny ogród znajdowały się zabudowania dawnego klubu ziemskiego, obecnie przerobione na biuro.

- Przepraszam, jest zimno - usprawiedliwił się Jake, wpuszczając ich do środka. - Centralne zostało ustawione na minimum. Za to basen zawsze jest dobrze ogrzany.

Wprowadził ich do swojego gabinetu. Wielkie biurko na wprost wielkiego okna, z którego rozciągał się ten sam piękny widok co z salonu. Pod jedną ścianą długa niska kanapa. Wyobraziła sobie Jake'a, jak rozsiada się na niej, by rozprostować nogi, wypić kawę i sprawdzić na laptopie najnowszą pocztę.

Wyobraziła sobie, jak chodzi w tę i z powrotem, gestykulując i negocjując z klientami przez telefon. Widywała Davida w podobnych sytuacjach. Pamiętała, jak czarował, przekonywał, przyszpilał lub straszył swoich rozmówców, aż wreszcie udawało mu się postawić na swoim. Zrobiło jej się nieprzyjemnie.

Czy Jake działał podobnie? Żelazna ręka w aksamitnej rękawiczce? Chyba jednak nie, ale nawet koty mają pazury, a Jake nie przypomina udomowionego kota. Potrafi twardo negocjować i energicznie dążyć do celu, tego była pewna. Czy to nie jest niezbędne, by przetrwać w biznesie w tych ciężkich czasach?

- Chodźcie, dzieciaki, to nie koniec wycieczki. Na końcu będzie basen - zachęcił ich Jake.

Amelia szła ostatnia, pchając spacerówkę z Thomasem. Chciała mieć wolne ręce, by pomóc starszym dzieciom rozbierać się i ubierać.

- Oto główne pomieszczenie biurowe, tu jest pokój Kate, a tam, przed wami, recepcja. Wprowadziłem was prywatnym wejściem od tyłu, ale klienci wchodzią tędy, od strony ogrodu - wyjaśnił, otwierając przed nimi drzwi.

Dzieci z piskiem wybiegły na dwór i zaczęły się gonić wokół przykrytego śniegiem klombu, w centrum którego znajdowała się fontanna. Ciskały w siebie śnieżkami, zaśmiewając się do rozpuku. Jak dobrze było patrzeć na ich szczęśliwe buzie.

- Pewnie jest tu pięknie latem - skomentowała Amelia, patrząc na bezlistne teraz pnącza róż na ceglanym murze.

- Ludzie chętnie wychodzą na lunch lub kawę do ogrodu. Fantastycznie się tutaj pracuje. Zakochałem się w tym miejscu, gdy je zobaczyłem. To było kilka miesięcy przed... - Głos mu się załamał, ale szybko dodał: - Wypatrzyłem tę posiadłość pięć i pół roku temu. Postanowiłem przenieść tu całą swoją działalność, co okazało się słuszną decyzją, korzystną, chociaż później właściwie nie miałem już wyjścia, bo nasz poprzedni dom został sprzedany, a tu zaczęły się prace remontowe.

- Pewnie ci było trudno.

- Klamka zapadła. Nie chciałem się wycofywać. Najtrudniej było z dworem. Robotnicy zaczęli remont od samej góry. Pierwotnie zamierzaliśmy tam urządzić naszą część mieszkalną. No cóż... Zatrudniłem dekoratorkę wewnątrz do zaprojektowania reszty, ale nie pozwoliłem jej zmieniać pierwotnych planów. Chciałem, żeby się tu mogli zatrzymywać ludzie z rodzinami, tak jak sobie kiedyś wymyśliliśmy. Wprowadziłem się dopiero po zakończeniu przebudowy, a i tak prawie nie wychodziłem z biura.

W zadumie patrzył w kierunku domu, a ona odwróciła wzrok, by nie naruszać jego prywatności. Co za idiotyzmy chodziły jej po głowie. Przecież to oczywiste, że Jake nadal jest zakochany w żonie, tej nieznannej kobiecie, z którą planował każdy detal urządzenia pokoi, w których - o ironio losu - mieszka teraz ona wraz ze swoją czeredą. Czy ma do niej żal, że rozgościła się akurat na górze?

Wybrała te sypialnie ze względu na miłą atmosferę, nie wiedząc nic o jego żonie - ale może tak było lepiej. To dowodziło, że zostały zaprojektowane z sercem. Kate również najlepiej się w nich czuła.

Nie potrafi jej rozgryźć. Czy naprawdę podoba jej się wystrój, czy jest tylko uprzejma? A może nie chce z nim pracować?

Mężczyzna po przejściach, kobieta z przeszłością. Mieszanka wybuchowa.

- Musimy omówić warunki - powiedział.

Na pewno ją przekona do podjęcia pracy, a potem stopniowo przekona ją do siebie. Nic dziwnego, że jest nieufna. Po małżeństwie z takim czarującym łajdakiem jak David Jones można się nabawić urazu do końca życia.

Nie wolno jej popędzać, to oczywiste. Jedyne, co może zrobić, to pozwolić jej odetchnąć, stanąć na nogi. Zadzwoiła jego komórka, spojrzął na ekran. Kate.

- No i jak ci minęły święta?

- Jake, możemy porozmawiać?

- Coś się stało? - spytał zaniepokojony.

- Chyba sobie żartujesz - parsknęła. - Zwymyślałeś mnie, a potem ani słowa? Nie wiem, czy lepiej się czujesz, czy mi wybaczyłeś, a nawet czy jeszcze mam pracę! Trzeba być idiotą, żeby pytać, jak mi minęły święta. Przepraszam, przepraszam, Jake. Nie to chciałam powiedzieć. Strasznie się martwiłam, bo nie odebrałeś telefonu i nie oddzwoniłeś, a to do ciebie niepodobne.

Powinien był dać jej znać. Głupio wyszło. Jednak działo się tyle innych rzeczy, że nigdy nie miał czasu.

- Jasne, masz pracę. Słuchaj, a może byś przyjechała z Megan na basen? Mielibyśmy szansę napić się razem kawy i pogadać trochę. A przy okazji, wpadnij po drodze do sklepu sportowego i przywieź kostiumy kąpielowe dla Amelii i dzieci. To co, widzimy się za godzinę?

- Nawet mniej. Kitty może pożyczyć kostium od Megan, Millie ode mnie, a Edward zdaje się zostawił latem jakieś kąpielówki. Poszukam. - I rozłączyła się.

- To Kate. Zaraz przyjedzie ze strojami na basen dla was wszystkich - wyjaśnił Amelii.

- Domyśliłam się. Naprawdę bała się o pracę? Głupio mi. Powinnam była zadzwonić.

- Ja też. Nie martw się, nic jej nie grozi. Świetnie wie, że jest niezastąpioną asystentką, a przynajmniej powinna to wiedzieć.

- Chyba nie do końca. Uważa, że złapała Pana Boga za nogi, gdy dostała tę pracę.

- Naprawdę? - Zaczął się śmiać. - Jestem wymagającym szefem, Amelio. Oczekuję, że mój zespół da z siebie wszystko, ale sam też się nie oszczędzam. Jestem lojalny wobec pracowników, stoję za nimi murem. Nie toleruję tylko głupoty.

- Czy Kate wie o twojej rodzinie?

- Nie. O tym nie rozmawiam z nikim. Nawet przyjaciele, którzy znają mnie od lat, nauczyli się nie poruszać tego tematu.

- W porządku, ja też będę trzymać język za zębami. Podejrzewałam, że Kate nic nie wie, bo kiedyś o tobie rozmawiałyśmy i nie zrobiła najmniejszej wzmianki.

- Nie mieszam pracy z życiem prywatnym - wyjaśnił.

- A jednak interesujesz się swoimi pracownikami. Pamiętasz, kto ma dzieci, posyłaś kwiaty chorym i dajesz urlopy macierzyńskie. Zaprosiłaś Kate z Megan, kiedy w zeszłym roku zimą popękały u niej rury. Tylko siebie otoczyłeś chińskim murem.

- Tak mi łatwiej. Nie potrzebuję współczucia, Amelio, ale świętego spokoju. Moje życie jest tylko moją sprawą. Dobrze mi samemu.

Składałam deklaracje bez pokrycia, myślałam jednocześnie. Wcale nie chcę tej wychwalanej samotności.

- Możemy zobaczyć basen? - zadzwęczał głosik Kitty. Oboje z Edwardem wpadli do środka, przy wejściu obtupując buciki ze śniegu.

- Oczywiście. Niedługo Kate przywiezie Megan i stroje dla was. Poczekajcie minutkę.

- Hura, hura, idziemy na basen - zaśpiewała Kitty, a jej starszy brat klaskał w ręce.

- Jest super. Mieliśmy bitwę na śnieżki, a teraz będziemy pływać! Niesamowite. Będziesz się kąpać?

- Nie mogę zamoczyć gipsu - tłumaczył się Jake.

- Gdyby nie to, wyzwiałbym cię na wyścigi. Pływam codziennie rano, o szóstej, przed pracą. Mam nadzieję, że mi darujesz, jeśli nie będę się przyglądał, skręcałbym się z zazdrości. Mam nadzieję, że będziecie się świetnie bawić.

W tym momencie nadjechali spodziewani goście. Dzieci witały się radośnie z Megan, a Jake uściskał Kate.

- No, uśmiechnij się - poprosił, gdy spostrzegł łzy w oczach kobiety.

- Strasznie mi głupio z powodu całego zamieszania, ale naprawdę nie wiedziałam, co robić. Do głowy mi nie przyszło, że wrócisz tak prędko.

- Wszystko w porządku, przestań się zamartwiać. Sam podjąłbym taką decyzję na twoim miejscu. Dzieci nie mogą się doczekać - powiedział, zmieniając temat - a ja chciałbym zamienić parę słów z Amelią. Popilnujesz tego całego towarzystwa? Amelio, poczekam na ciebie w gabinecie.

Włączył komputer, sprawdził pocztę, usuwając do kosza oferty, reklamy i inne śmieci, odpowiedział na kilka listów. Wreszcie Amelia stanęła w drzwiach, wyraźnie zakłopotana.

- Napijesz się kawy? - zaoferował.

- Chętnie. Masz mleko, czy powinnam się przebiec do domu?

- Śmietanka w proszku. Może być?

- Jasne. - Podeszła do okna i wpatrzyła się w dal.

- Jakim cudem możesz pracować, mając przed nosem taki wspaniały widok?

- Sprzyja koncentracji. Zieleń po horyzont, czasem tylko przemknie wiewiórka. To mnie uspokaja i ułatwia myślenie. Najbardziej lubię ranki i wieczory, kiedy w biurze nikogo nie ma.

- A dom? Mam wrażenie, że nawet sypiasz tutaj.

- I jem posiłki. I przyjmuję gości. Jeśli nie jestem w biurze, to korzystam z saloniku albo gabinetu w dworku. Reszta pomieszczeń jest zbyt formalna, jak na mój gust.

I pusta niczym sale muzealne, pomyślał. Nie chciał się przyznać sam przed sobą, ile życia i radości wnieśli Amelia i dzieci do jego samotni, a teraz nie jest w stanie wyobrazić sobie, jak pusty i nieprzyjazny będzie dom po ich wyprowadzce.

- Myślałaś o mojej propozycji?

- Zanim ją przyjmę, chciałabym mieć pewność, że uzyskam niezależność finansową. Nie chcę się targować, ale jestem dobrą tłumaczką. Muszę mieć wystarczająco dużo pracy, aby zarobić na utrzymanie rodziny. Myślałam o lekcjach śpiewu dla Edwarda. Nie mogę się na nie zdecydować, dopóki nie mam regularnych przychodów. Męczy mnie niepewność jutra i ustawiczne żonglowanie czasem. Biorąc więcej dorywczych prac, zaniedbuję dzieci, a spędzając czas z dziećmi, tracę zarobek. Chciałabym wreszcie wiedzieć, na czym stoję.

- Zaczniemy od razu - przerwał jej. - Judith, moja dotychczasowa tłumaczka, miała dla nas mniej czasu i nagromadziło się trochę zaległości. Niektóre są dosyć pilne.

- Mam ci wystawić rachunek po wykonaniu roboty?

- Dostaniesz zaliczkę już teraz. Po prostu wypiszę czek. - Miał świadomość, że wtedy wystarczy jej pieniędzy na wynajęcie domu, ale nie może jej przecież zatrzymać na siłę.

- Nie potrzebujesz referencji?

- Jesteś przyjaciółką Kate, to wystarczy. Znam twoje dzieci. Poznałem twojego męża.

- Znasz Davida?

- Od zeszłego roku. Tak mi się wydaje, że to był on. Przyszedł z propozycją otwarcia sieci kawiarenek.

- Och, tak. Miał taki pomysł. Nie wiedziałam, że nachodził również ciebie. Kate nic mi nie mówiła.

- To się odbyło poza nią. Spotkaliśmy się na konferencji. Odmówiłem mu. Plan wydał mi się źle przemyślany, więc nie chciałem ryzykować.

- Dobrze zrobiłeś. Sama nie wiem, co widziałam w Davidzie, ale w końcu dotarło do mnie, jakim jest człowiekiem. Byliśmy małżeństwem, a ja spodziewałam się drugiego dziecka. Usiłowałam go zmienić, wtedy odszedł.

- A Thomas?

- Pozwoliłam mu wrócić. Uznałam, że należy mu się druga szansa ze względu na dzieci, jednak i tym razem nasz związek nie przetrwał. Tym razem ja wystąpiłam o rozwód. Zrobiłam to, chociaż znowu byłam w ciąży. Co David ma wspólnego z moją pracą?

- Chciałem ci uświadomić, że nie jesteś niczemu winna. Starłaś się ocalić swoją rodzinę, ale nie miałaś partnera, na którego mogłabyś liczyć. Jesteś profesjonalną tłumaczką, szybką i precyzyjną. To dla mnie ważne. W kontraktach handlowych każde słowo ma znaczenie, a chociaż większość tekstu jest standardowa, zawsze znajdują się w nich paragrafy, które w istocie są pułapkami. Nie wolno ich przegapić. Będę bardzo szczęśliwy, jeśli zaczniesz pracować dla mnie. Ktoś z zespołu odpowiedzialnego za sprawy pracownicze przygotowuje umowę. Tymczasem proponuję ci stawkę, którą miała Judith, plus dwadzieścia procent premii, a dodatkowo podniosę o czterdzieści procent część płatną z góry. Za minutkę przedstawię ci dokładną kalkulację.

- Chciałabym się zorientować, ile otrzymam na rękę. Może będę musiała brać dodatkowe zlecenia.

- Mowy nie ma - przerwał jej. - Mamy dużo kontaktów międzynarodowych. Z francuskim i włoskim sobie radzimy, sam nieźle mówię tymi językami, ale rosyjski i hiszpański to nasza pięta achillesowa. Jeśli uznasz, że zarabiasz za mało, daj znać. Niewykluczone, że przydasz się choćby do rozmów telefonicznych i telekonferencji, więc praca na pełen etat również wchodzi w grę.

- W porządku. Wrócimy do rozmowy, kiedy pokażesz mi konkretne stawki.

Świetnie. Nie straci jej, przynajmniej nie do końca. Był gotów posłużyć się finansową przynętą - przedstawi Amelii taką ofertę, że jej nie odrzuci. Jeśli nawet się wyprowadzi, nadal będzie miał pretekst, by do niej dzwonić, widywać się z nią, prosić o pomoc. Nie ma co, stracił dla niej głowę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- O co chodziło?

Podpłynęła do Kate i oparła się o brzeg basenu.

- Jake zaproponował mi pracę. Jego tłumaczka chce sobie zrobić wolne.

- Judith? Naprawdę? Nic nie wiedziałam. Najwyraźniej zrobiłaś na nim dobre wrażenie. Strasznie przepraszam za ten cały pasztet przed świętami. Miałam wyrzuty sumienia, ale szczęśliwie przetrwałaś. Jak było?

Trudno opisać dni, w których były i łzy, i najpiękniejsze emocje...

- Świetnie. Zabawnie. Jake był niesamowity. Zabrał nas do supermarketu, gdzie kupiliśmy tony jedzenia. Ugotowałam świąteczny obiad. Były prezenty, nawet Rufus dostał kubraczek.

- Wielkie nieba, ten człowiek nie przestaje mnie zadziwiać, choć już się przyzwyczaiłam, że skoro się do czegoś zabiera, robi to dobrze. Dopracowuje każdy szczegół.

- Mam wątpliwości, czy przyjąć tę pracę. Myślisz, że się nadam?

- Oczywiście - odparła Kate bez wahania. - Wystarczy, że spojrzy na twoje referencje. Czy już o nie poprosił?

- Powiedział, że nie są mu potrzebne.

- Ojej. To prawda, że jest dobrym znawcą ludzkich charakterów i na ogół się nie myli, ale mam wrażenie, że tu chodzi o coś zupełnie innego. Millie, on cię naprawdę lubi. I mam na myśli romantyczny rodzaj lubienia.

- Daj spokój, Kate. To dużo bardziej skomplikowane. Żadne z nas nie nadaje się do związku.

- Skąd wiesz? Rozumiem twoje opory, ale skąd wiesz, że on tego nie chce? Coś powiedział?

- Troje dzieci i pies? Jaki normalny facet weźmie sobie na głowę taki bagaż? - wykręciła się. - A czy widzisz mnie w związku z kolejnym przedsiębiorcą? Mam dosyć życia na diabelskim młynie, nerwowego sprawdzania, czy akcje nie lecą na łeb, na szyję, niepewności, czy bank nie wyrzuci mnie z domu. Chcę bezpieczeństwa, a do tego nie jest

mi potrzebny mężczyzna. Wezmę tę pracę, wynajmę dom i życie wróci do normy. Zapiszę dzieci do nowej szkoły, mam nadzieję, że na dłużej niż kilka miesięcy.

- Co na obiad? - spytał, zaglądając jej przez ramię.
- Kolejna improwizacja z indykiem w roli głównej.
- Świetnie pachnie. Jakies marokańskie danie?
- Nazywa się tagine. Znalazłam przyprawy w kredensie i nie mogłam się oprzeć.
- Czy nie za mało? Jesteś pewna, że wystarczy na tyle osób?
- Dzieci zjedzą wcześniej. To porcja dla ciebie.
- A ty?
- Zjem z dziećmi.
- Dlaczego?

Zebrała się na odwagę i wyjaśniła mu cierpliwie, że święta się skończyły i nie jest pewna, czego właściwie się po niej spodziewa.

- Myślałem, że to oczywiste. Od Bożego Narodzenia jedliśmy wszystkie posiłki razem. Uznałem, że tak już zostanie.

- Miałam ci pomagać, zajmować się domem, gotować, to wszystko.
- Czy to znaczy, że nie możemy razem siadać do stołu?
- Nie, oczywiście, że nie. Uważałam, że wolisz być sam.

- Bardzo proszę, zjedz ze mną. Jeśli jest za mało, dorzuć więcej indyka albo ugotuj coś innego, ale usiądź ze mną. Nie chcę jeść sam. Powinniśmy porozmawiać o pracy.

No jasne. Praca. Nie zależy mu na jej towarzystwie - zresztą tak jest lepiej, trzeba zapomnieć o intymnych kolacyjkach we dwoje z drinkami przy kominku, w świetle płomieni.

A jednak ich wieczorna kolacja przebiegała dokładnie według takiego scenariusza. Po położeniu dzieci zasiedli do stołu we dwoje. Potem wzięli wino i przeszli do salonu. W kominku płonął ogień, bo po przyjeździe Kate i Megan tu spędzili większość dnia, wśród żartów układając puzzle, podczas gdy Thomas spał albo dzielnie usiłował stanąć przy stole, podkraść im kawałki układanki i wpakować sobie do buzi.

Jake wrzucił do paleniska duży pień, po czym poklepał miejsce na kanapie przy sobie.

- Mam dla ciebie te obiecane wyliczenia.

Siadła obok niego, podwijając nogi. Nie chciało jej się wierzyć, że zarobi aż tyle.

- To bardzo dużo - skomentowała.

- Spodziewam się przyzwoitej pracy za przyzwoitą płacę.

- A jeśli sobie nie poradzę? - Fatalnie się czuła, spóźniając się z wykonaniem zlecenia, ale wypadki chodzą po ludziach. - Co będzie, kiedy dzieci zachorują, kiedy Thomas nie da mi spać?

- Daj mi znać wcześniej i nie podejmuj się czegoś, czego nie dasz rady zrobić. Zawsze można znaleźć inne rozwiązanie. Proszę tylko, żebyś się starała wywiązać ze zobowiązań najlepiej, jak potrafisz.

- A jeśli nie będziesz zadowolony z mojej pracy?

- Nie mam najmniejszych obaw. Znam Barry'ego Greena, twojego poprzedniego pracodawcę. Dzwoniłem do niego. Powiedział, że nigdy by cię nie zwolnił, gdyby nie musiał się wycofać z części inwestycji, które narażały go na straty. Dał ci entuzjastyczne referencje, wręcz mu ulżyło, że znalazłaś zajęcie, bo dręczyły go wyrzuty sumienia. Czas podjąć decyzję. Wezmiesz tę pracę czy mam szukać kogoś innego?

Wciąż się wahała. Było wiele poważnych argumentów „za”, ale równie wiele „przeciw”.

- Nie musisz współpracować bezpośrednio ze mną, jeśli tego się obawiasz. Możesz mieć do czynienia z Kate albo szefem działu kontraktów międzynarodowych. Nie wymagam zobowiązania na całe życie. Jeśli ci się trafi coś lepszego, odejdziesz. Poza tym Judith nie rozstała się z nami na zawsze. Chciała sobie zrobić dłuższą przerwę, ale to nie znaczy, że kiedyś nie wróci.

Ułatwiał jej podjęcie pozytywnej decyzji. Trudno odmówić komuś, kto we wszystkim idzie ci na rękę. Bała się komplikacji osobistych, ale skoro Jake nie byłby jej bezpośrednim przełożonym, sprawa wydaje się prosta.

- W porządku. Przyjmuję propozycję - zdecydowała.

- Świetnie. Witaj w zespole. - Podniósł kieliszek i wznosił powitalny toast.

Poczuła tak ogromną ulgę, że nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Dziękuję - powiedziała szczerze.

Ich oczy się spotkały i zapadła cisza przerywana tylko trzaskaniem drewna w kominku.

Wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że to ona płonie pod jego wzrokiem, a nie ogień na palenisku. Wyjął kieliszek z jej zdętwiałych palców. Kciukiem powiódł po dolnej wardze, a potem opuszkami palców, niczym ślepiec, poznawał rysy jej twarzy.

- Chodź ze mną do łóżka - szepnął zachrypniętym głosem, jednak z nieśmiałą nutą i bez natarczywości.

Całe jej ciało krzychało „tak, tak!” - obudzone delikatnym, niemal pozbawionym erotyzmu gestem.

- Nie wiem, czy to mądre - odparła przyciszonym głosem, odwołując się do resztek zdrowego rozsądku.

- Może i głupie, ale i tak to zrobimy. - Poderwał się i wyciągnął do niej rękę. Czekał.

Po chwili, która zdawała się nie mieć końca, wstała i pozwoliła się poprowadzić po schodach.

Jego ręka była ciepła, a uścisk mocny i pewny. Z delikatnym stuknięciem zamknął za nimi drzwi swojej sypialni, przycisnął włącznik. Przytłumione i łagodne światło zalało pomieszczenie.

- Nie biorę pigułki - mruknęła, przypominając sobie nagle podobną sytuację i jej bardzo poważne konsekwencje.

- Nie szkodzi. Ja o wszystko zadbam.

Wziął ją w ramiona. Przez dłuższą chwilę stali przytuleni, czerpiąc pociechę z ciepła swoich ciał, równego rytmu serc i łagodnego muśnięcia oddechów. Odgarnął na bok jej włosy i pocałował w szyję, tam, gdzie można ustami wyczuć pulsowanie krwi, a ona odchyliła głowę, by mu ułatwić dostęp. Zniknęły gdzieś poprzednie obiekcje. Teraz chciała czuć na sobie jego usta.

Wsunęła ręce pod kaszmirowy sweter Jake'a. Co jest bardziej jedwabiste - miękka wełna czy jego skóra? Gorąca, gładka, sucha, ciasno opinająca twarde mięśnie. Przesunęła palcami po jego kręgosłupie i poczuła, jak nagle zadygotał i aż jęknął od tej intymnej pieczyoty.

Teraz przyszła kolej na niego. Znalazł jej usta, całował je coraz bardziej agresywnie, aż przestała udawać, że jej erotyczne pragnienia ustępują jego pożądaniu.

- Za dużo masz ubrań - mruknął, walcząc z guzikami i paskami zagrażającymi mu dostęp do jej ciała. - Chcę cię dotykać, Amelio. Chcę poczuć, jak twoja skóra ociera się o moją. Potrzebuję cię. Pragnę.

Zaczął zdzierać z siebie ubranie, ale gips bardzo mu przeszkadzał, więc przejęła inicjatywę - rozebrała go niespiesznie, z rozmysłem muskając twarde mięśnie brzucha. Jego oczy wyglądały teraz jak czarne węgielki. Gdzieś zniknął ich szary kolor, rozszerzone źrenice nadawały im niesamowity charakter, a spojrzenie paliło żywym ogniem.

Nigdy nie czuła się tak piękna, tak bardzo godna pożądania. Nie musiał nic mówić, wystarczało jego spojrzenie, wyraz twarzy. Najbardziej gorący komplement nie mógł się z tym równać.

Kiedy sięgnął do zapięcia stanika, spieszyła się na moment - wykarmiła wszak troje dzieci - na szczęście zachwyty na jego twarzy zniweczył wszelkie opory.

- Pragnę cię, pragnę - powtarzał jak mantrę.

- Ja też cię pragnę. Kochaj się ze mną, Jake.

- Mam taki zamiar, ale musisz sama wyskoczyć z dżinsów! - Uśmiechnął się figlarnie.

Oboje parsknęli śmiechem, wtedy napięcie zelżało, stali się swobodniejsi, bardziej poufali, skłonni do rozmowy. Pomógł jej zdjąć spodnie, a gdy schyliła się, by je podnieść z podłogi, gwizdnął z aprobatą.

- Tak cię zapamiętałem z pierwszego spotkania - przyznał. - Wszedłem do jadalni, ty stałaś na stole i schyliłaś się po coś, wypinając pupę. Co za seksowna kobieta, pomyślałem wtedy. - Sięgnął ręką do pośladków Amelii. Frywolne jedwabne majteczki, prezent od Kate, niewiele zakrywały.

Kiedy się wyprostowała, mogła obserwować ich odbicie w lustrze. Jake oparł rękę na jej biodrze, przesuwał ją powoli wzdłuż gumki na środek brzucha. Jego ręka poczynała sobie coraz odważniej, pokonała wątpliwą jedwabną barierę i zaplątała się w miękkie włosy podbrzusza. Amelia oddychała coraz szybciej i coraz głośniej. Ocierał się o nią, a każdy ruch sygnalizował: pragnę cię, nie mogę dłużej czekać.

Drugim ramieniem przytulił ją do siebie, gips przytrzymał ją jak obręcz. Ona też nie chciała się dłużej bawić w przedłużanie wstępnych pieszczot. Potrzebuje go. Czekwała na niego całe życie i nie wytrzyma kolejnej sekundy. Przekręciła się w jego ramionach, wsunęła rękę do bokserów, drażniąc i prowokując. Wtedy Jake podniósł ją jedną ręką i przeniósł na łóżko, rzucił na materac, pozbywając się przy okazji niepotrzebnego kawałka jedwabiu. Niezręcznie grzebał w szufladzie nocnego stolika, aż znalazł to, czego szukał.

- Pomóż mi, nie dam rady jedną ręką - syknął przez zęby.

Ręce jej się trzęsły, gdy po raz pierwszy wzięła go w dłonie tak poufale, tak intymnie. Wstrzymał oddech, wypuścił powietrze z jękiem, przymknął oczy, a potem znowu je otworzył i spojrzał na jej piersi.

- Jake, proszę, chcę tego. - Zakrył ją sobą przed światem i czas się zatrzymał.

- Dobrze się czujesz?

- Pojęcia nie mam. Zapytaj za minutę, kiedy mój mózg zacznie działać - zaśmiała się cicho.

Jake podparł się na ramieniu i przyjrzał swojej towarzyszce z niekłamana przyjemnością.

- Masz brokat we włosach - mruknęła, gładząc go po głowie.

- To efekty działalności twojej córki - wyjaśnił rozbawiony. - Uznała, że posypie mnie czarodziejskim pyłem. To mi zapewni bogactwo.

- Idź złoto do złota - zaśmiała się.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś śliczna? - Obrysowywał palcami kontur jej piersi.

- Jak to jest, że wykarmiłam troje dzieci, a pieszczoty piersi nadal działają na mnie erotycznie? - spytała leniwie.

- Nie wiem, ale może to dotyczy tylko jednej? Powinniśmy przeprowadzić podobne doświadczenie na drugiej.

- Idiota - mruknęła z czułością.

Wtedy zamknął jej usta pocałunkiem i już po chwili zabrakło jej słów, zapomniała nawet, jak ma na imię, zapomniała też, dlaczego romans z nim jest tak niebezpieczny,

nierozsądny. Jeszcze raz wydała siebie na pieszczotę jego palców, ciepło ust, dotyk silnego ciała, który może doprowadzić na skraj szaleństwa.

Przez cały kolejny tydzień, gdy biuro było zamknięte, a gospościa korzystała z urlopu, spędzali dni w ten sam sposób, popadając w bezpieczną rutynę.

Rano razem jedli śniadanie, potem wyprowadzali psa, układali Thomasa na przedpołudniową drzemkę i wreszcie Jake szedł do biura popracować, a Amelia rozkładała się z laptopem w pobliżu dzieci, które znajdowały wciąż nowe rozrywki w sali zabaw.

Jake wracał na lunch, jedli wszyscy razem i po dłuższym odpoczynku on wracał do pracy, a oni szli na basen popływać. Wieczorem Amelia przygotowywała kolację, układała dzieci spać, aż wreszcie nadchodziła pora, która była tylko dla nich. Wypijali wino przed kominkiem i szli do jego sypialni.

Nie zostawała na całą noc ze względu na dzieci, kochali się długo, niespiesznie, czule, aż po rozkosznej wspinaczce Amelia wpadała w wir orgazmu.

Oboje wiedzieli, że to nie może trwać w nieskończoność.

- Muszę znaleźć dom - oznajmiła, gdy w sylwestra o północy stali na poddaszu, oglądając pokaz noworocznych fajerwerków. - Nowy Rok, nowy początek. Mam pracę, czas obdzwonić agencje i dowiedzieć się, jakie mają propozycje.

- Nie musisz się wyprowadzać - powiedział cicho. - Wręcz przeciwnie. Mogłabyś się wprowadzić, ty i dzieci. Ze wszystkim, na stałe.

- Proponujesz, żebyśmy zamieszkali razem?

- Tak.

- Nie, nie mogę. - Energicznie pokręciła głową. - Nie chcę już nigdy więcej zależeć od kogoś, powierzyć innej osobie losu moich dzieci. Za wiele przeżyły, nie mogę ich narażać na kolejne rozstania, zmiany. Zrozum. To nie ma nic wspólnego z tobą. Zresztą, dziękuję za przemiłą propozycję, ale nie wierzę, że naprawdę tego chcesz.

- Przemiła propozycja? - Widać było, że nie spodziewał się takiej reakcji. - To nie uprzejmość, Amelio. Pragnę cię. Potrzebuję cię. Myślałem... Do diabła, przecież nam dobrze razem!

- Masz rację. Świetnie się dogadujemy, ale nie zrezygnuję z własnej niezależności. Powinieneś to rozumieć. Obiecałam sobie, że nigdy żaden mężczyzna nie będzie miał nade mną władzy.

- O czym ty mówisz, Amelio? Chcę dzielić z tobą życie. Nie miałbym nad tobą większej władzy niż ty nade mną.

- Tak ci się wydaje. Przecież mieszkam w twoim domu, zarabiam pieniądze w twojej firmie, można powiedzieć, że stawiam wszystko na jedną kartę. To zły pomysł.

- Tylko wtedy, kiedy przeciwnik gra z nami znaczną talią. Znajdź inną pracę, jeśli naprawdę będziesz się z tym lepiej czuła, chociaż niechętnie zrezygnuję z dobrej tłumaczki. Nie wycofuj się ze związku, który może być bardzo dobry, tylko z obawy przed hipotetycznym zranieniem.

- Skąd mam wiedzieć, Jake? Jak się przekonać, czy nam się uda?

- Trzeba w to wierzyć - szepnął, przytulając ją do siebie. - Trzeba wierzyć i starać się ze wszystkich sił. Jeśli dwoje ludzi bardzo czegoś chce i ma trochę szczęścia, wszystko się udaje.

- A jeśli nie? Co się stanie, kiedy odkryjemy, że jesteśmy innymi ludźmi, niż nam się wydawało?

- Może za bardzo na ciebie naciskam - przyznał. - Przynajmniej przemyśl to. Nie skreślaj nas z góry.

Dajmy sobie trochę czasu. Wyprowadź się, skoro tego potrzebujesz, ale spotykajmy się, umawiajmy się na kolacje, zabierajmy dzieci...

- Nie - przerwała. - Nie chcę, aby dzieci zaczęły cię traktować jak stały punkt swojego życia. Teraz jest inaczej. Wyświadczasz nam przysługę, układ jest tymczasowy, one to rozumieją. Ale co będzie, jeśli się wprowadzimy, będą tu szczęśliwe, a potem nagle trach! Stracą grunt pod nogami.

Chciało jej się płakać, więc odwróciła się.

- Przepraszam, Jake. Było cudownie, ale nie będzie dalszego ciągu. Możemy to skończyć z chwilą, gdy się wyprowadzę, albo już teraz. Twój wybór.

- Więc chodźmy do łóżka. - Głos mu drżał. - Jeśli mam cię tylko na trochę, chcę się cieszyć każdą chwilą.

Miał wrażenie, że oszaleje. Kochać się z nią, wiedząc, że to może być ostatni raz, że ją nieodwołalnie straci - to nie do wytrzymania. Jednak zawsze zwyciężała chęć wzięcia jej w ramiona, pokazania jej, jakim bezcennym skarbem jest dla niego.

Był głupcem, wyobrażając sobie, że jego uczucie pokona każdą przeszkodę. Życie z Davidem zostawiło zbyt głębokie blizny. Nic dziwnego, że Amelia nie potrafiła zdobyć się na zaufanie. Ale on nie da za wygraną. Będzie ponawiał próby, aż w końcu znajdzie sposób, by ją do siebie przekonać. Nie ma innej możliwości.

Tydzień później, tuż przed powrotem gosposi z urlopu, Amelia powiedziała mu, że znalazła dom.

- Gdzie?

- Dziesięć mil stąd. W razie potrzeby będę mogła przyjechać, gdybym była potrzebna w biurze.

- Gdzie dokładnie?

- W Reading.

- W jakiej części?

- Czy to ważne?

Miał ochotę rwać włosy z głowy.

- Tak! Oczywiście, że ważne. Jakie sąsiedztwo? Szkoły?

- W porządku - burknęła, nie patrząc mu w oczy.

Nie uwierzył ani na sekundę.

- Podpisałaś umowę?

- Nie. Spotykam się z właścicielem jutro. Dzisiaj się tylko rozejrzałam.

- No i?

- Będzie dobrze.

- Czekaj, mam lepsze wyjście...

- Nie zostanę tutaj, Jake!

- Mam inny dom. Pamiętasz, mówiłem ci, że mieszkałem w okolicy, kiedy tutaj trwał remont. Stoi pusty, chciałem go sprzedać na wiosnę. Cztery sypialnie, ładny ogród, przyzwoite umeblowanie. Wymaga tylko gruntownego wysprzątania. Ostatni lokator

wyprowadził się wczoraj. Jest blisko do Kate, a w pobliżu masz bardzo przyzwoite szkoły. Czekał, czy w tym domu, który znalazłaś, można trzymać zwierzęta?

- Agent mi obiecał, że przekona do tego właściciela.

- A jeśli odmówi?

- Będę szukała dalej. Jake, dlaczego tak się tym przejmujesz?

- Bo mi na was zależy - przyznał uczciwie.

Do diabła z dawaniem jej czasu, zdobywaniem zaufania i dotychczasową polityką małych kroków. Skończy się tak, że Amelia zamieszka w jakiejś ruderze w podejrzanej okolicy i pośle dzieci do szkoły dla lumpenproletariatu. Prędzej padnie trupem, niż jej na to pozwoli!

- Bo cię kocham! - wrzasnął. I spokojniejszym głosem dodał: - Kocham cię, Amelio. Nie jestem w stanie cię zatrzymać, ale mogę przynajmniej zadbać o twoją wygodę i bezpieczeństwo. Weź dom, o którym ci mówiłem. Przepiszę go na twoje nazwisko. Możesz pracować dla mnie albo nie, wybór należy do ciebie, ale nie zabieraj dzieci do jakiejś podejrzanej szkoły w zapyziałej mieścinie tylko dlatego...

- No, dlaczego, Jake? Dlatego, że tylko na to mnie stać. Nie każdy ma twoje możliwości!

- Ale ja staram się dać ci możliwość wyboru innych rozwiązań i wszystkie opcje odrzucasz!

- To nie są opcje. To lep na muchy. Nie dam się złapać na przynętę.

- Więc pozwól, że zrobię to dla dzieci. Zapiszę dom na twoje dzieci, nie na ciebie. Będziesz miała pełną wolność. To ty wybierzesz, czy mnie kochasz, czy nie, czy wierzysz w moją miłość i zgodzisz się wyjść za mnie. Żadnych emocjonalnych szantaży, żadnego ultimatum. Dom jest twój. Praca jest twoja. I ja jestem twój, jeśli mnie chcesz. Zastanów się. Rano zadzwonię do mojego adwokata, wszystko będzie można formalnie przeprowadzić.

Wyszedł z pokoju, bo zaczął się bać, że jeśli powie jeszcze jedno słowo, Amelia rozgniewa się na dobre, a wtedy straci ją nieodwołalnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- To już wszystko, dzieciaki. Czas się pożegnać i podziękować Jake'owi.
- Nie chcę się żegnać - zaszlochała Kitty, obejmując go kurczowo ramionkami.
- Ja też. - Edwardowi drżała broda.

Jake zacisnął zęby, inaczej z jego ust padłoby coś głupiego, na przykład prośba, by zostali.

- Jake, nie trzeba. - Amelia uprzedziła go, jakby mu czytała w myślach. Może zresztą zdążyła go tak dobrze poznać.

Postąpi zgodnie z jej życzeniem, choć go nie rozumie. Nie jest w stanie pojąć, dlaczego Amelia wrywa się stąd, wiedząc, że zostawia go ze złamanym sercem. Przecież wcale nie chce stąd wyjeżdżać, ani ona, ani dzieci. Niestety, to jest jej wybór, jej decyzja, jej życie.

Może to tylko uszanować. Oderwał ręce Kitty od swoich bioder, podniósł ją i ucałował mokry od łez policzek, a potem wsadził do auta.

- Trzymaj się, kochanie. Daj mi znać, czy podoba ci się nowa szkoła. Ty też się trzymaj, Tygrysku. - Pomachał do Thomasa, jak zwykle promiennie uśmiechniętego.

Zwrócił się z kolei do Edwarda tkwiącego w miejscu z naburmuszoną miną.

- Czas na ciebie, chłopie. Koniecznie daj mi znać, jak ci poszło przesłuchanie.

- Nie chcę na nie iść.

- A powinieneś. Może nic z tego nie będzie, ale jest szansa, że dostaniesz stypendium. Wcale nie będziesz musiał mieszkać w internacie. Nie poddawaj się - zachęcał chłopca, który wyraźnie potrzebował takiego wsparcia.

- Chcę zostać z tobą - wymamrotał Edward, gdy Jake przytulił go na pożegnanie.

- Wiem, ale teraz macie własny dom. - Ciężko mu było rozstać się z chłopcem, w którym widział samego siebie z tego okresu.

Mieli podobne problemy emocjonalne, podobne pragnienie, by postępować właściwie. Ta potrzeba wyboru słusznej drogi została w nim na całe życie, dlatego puścił malca i delikatnie popchnął go w kierunku samochodu.

Odwrócił się, by znaleźć za sobą Amelię. Stała, przygryzając wargi, kręcąc w palcach klucze.

- Nie wiem, jakimi słowami ci dziękować...

- Nie rób tego. Jeśli musisz, jedź. Nie jestem w stanie się z tobą pożegnać.

Kiwnęła głową i zasiadła za kierownicą. Zawołała Rufusa, który wcale nie chciał do nich dołączyć. Siedział przy nodze Jake'a i skomlał. Dopiero zachowanie psa wzruszyło go do łez.

Otarł je szybko, zawstydzony niemęskim wzruszeniem. Podniósł pieska i posadził go w aucie.

- Mogę do ciebie zadzwonić? - zawołał Edward.

- Zapytaj mamusię. Ona zna mój numer. Dbajcie o siebie i powodzenia.

Miał jeszcze przekorną nadzieję, że w ostatniej chwili stanie się jakiś cud, silnik jej nie zapali, ale ruszyła i po chwili skręcała z podjazdu na publiczną drogę. Przez chwilę patrzył w ślad za nimi, po czym zatrzaskał za sobą drzwi.

Dom wydawał się nieznośnie pusty. Miał wrażenie, że pozbawiono go duszy, gdy tak chodził z pokoju do pokoju, wspominając śmiech i płacz, piski dzieci, gaworzenie niemowlęcia, ostre szczekanie psa, a nade wszystko ciepły, seksowny śmiech Amelii, jej zalotne spojrzenia i czułość, jaką okazywała mu na każdym kroku.

Wszystko to zniknęło z powodu jej uporczywej potrzeby udowodnienia własnej niezależności.

Jasne, że ją rozumiał. On także cenił sobie swoją autonomię, prawo do decydowania o sobie - najpierw w szkole z internatem, potem w liceum, wreszcie w dorosłym życiu. Tęsknota do samodzielności pozwoliła mu zerwać więzi z rodzicami, którzy nawet nie próbowali go zrozumieć, bo pochłonięci byli nieustannymi kłótniami i awanturami.

Nie wyniósł z domu rodzinnego zachęcających wspomnień, a jednak, gdy spotkał Rachel, nie uciekał przed miłością. Nie mógłby zrezygnować z miłości tylko dlatego, że czasem źle się ona kończy. Gdyby się kierował strachem, nigdy by się nie ożenił, nie znalazł szczęścia bycia ojcem. Gdyby miał przeżyć życie jeszcze raz, dokonałby tych samych wyborów.

Lepiej kochać i stracić, niż nie kochać wcale.

Jednak utrata Amelii była zupełnie niepotrzebna! Bez powodu, bez sensu. On w niczym nie przypomina Davida. Nie zawiódłby ich z powodu lekkomyślności, nieostrożnych decyzji, arogancji. Nie porzuciłby ich dla własnej wygody. Krwi by dla nich utoczył, dał się posiekać na kawałki za wszystkich razem i za każdego z osobna. Nawet za tego głupiego psa.

Zamknął się w salonie, swoim sanktuarium, i spojrzął na nagranie z własnym występem. Teraz nie będzie mógł słuchać własnego śpiewu sprzed lat bez myślenia o Edwardzie i jego anielskim czystym głósie.

Wyjrzał przez okno na niekształtną kupę śniegu, która jeszcze niedawno była bałwanem. Kiełki przyczepiły się do szalika, marchewka poturlała na ziemię, a czapka leżała w topniejącej kałuży.

Świetnie się bawili tego dnia. Robili śnieżne anioły, jedli pyszne potrawy, całe góry smakowitego jedzenia, bawili się w gry i układanki. Kitty zrobiła dla niego obrazek, a potem obsypała go brokatem.

Magiczny pył wróżek.

Amelia odkryła brokat w jego włosach, śmiała się i żartowała z niego. Tej nocy kochali się po raz pierwszy. Brokat pewnie rozniósł się po całym domu. Długo jeszcze będzie odnajdywać skrzące się drobinki.

- Jake?

Pukanie do drzwi i w progu stanęła Kate.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne. Dlaczego miałbym się czuć źle?

- Nie wiem. Ty mi powiedz. Wyglądasz okropnie.

- Dziękuję. Co mogę dla ciebie zrobić?

- George Crosbie czeka przy telefonie. Próbowałam się z tobą skomunikować, ale masz wyłączoną komórkę.

- Przepraszam. Przełącz na mój gabinet. Albo nie, pójdę z tobą.

Wszystko, nawet George, jest lepsze od siedzenia w pustym domu i nasłuchiwania echa dziecięcych głosów.

Może zresztą przenocuje dzisiaj w biurze.

- Nienawidzę tego miejsca.

- Wkrótce będzie tutaj bardzo miło, obiecuję ci, Kitty. Odbierzemy nasze rzeczy z magazynu, rozpakujemy się i będzie jak w domu.

- Rufus nie jest szczęśliwy. Wcale mu się tu nie podoba.

To prawda. Pies przesiadywał przy drzwiach wejściowych i wył, jakby miał nadzieję, że w ten sposób przywoła Jake'a. Amelia świetnie go rozumiała. Sama miała ochotę usiąść i zawyć.

Edward był podejrzanie milczący, jak wtedy, gdy David odszedł. Nawet nadchodzące przesłuchanie nie wywoływało żywszej reakcji, zupełnie jakby mu przestało zależeć. Amelia nie wiedziała, jak mu pomóc.

No jasne, można zawsze zadzwonić do Jake'a i przyznać się, że to wszystko było jedną wielką pomyłką, popełniła błąd i chce go naprawić. Jednak to jedyny krok, którego nie robi. Co będzie, jeśli ich związek się rozpadnie? Może Jake znudzi się dziećmi innego mężczyzny. W końcu własny ojciec je porzucił.

- Dzieci, czas spać.

- Nie znoszę mojego łóżka. Jest twarde i niewygodne.

Jej łóżko nie było twarde, za to zapadało się pośrodku i było równie niewygodne. Miała wrażenie, że pościel jest wilgotna, a w całym domu unosi się zapach pleśni.

Zdecydowała się wynająć ten dom, bo właściciel nie żądał wysokiego zadatku i licznych referencji i zgodził się na psa. Poza tym stać ją było na czynsz. Będzie nawet mogła trochę odłożyć - na wszelki wypadek.

To właśnie wyryją na jej grobie: „Tu leży Amelia Jones - Na wszelki wypadek”.

- Marsz do łóżka, jutro szkoła - powiedziała do syna z udawaną pogodą.

- Nie znoszę nowej szkoły. Zapytałem o chór i koledzy mnie wyśmiali.

Och, nie. Co jeszcze zdarzy się jutro?

- Wiesz, co się dzieje u Amelii?

- Twierdzi, że wszystko w porządku. Dużo ostatnio dla ciebie pracuje.

- Jest dobra w tym, co robi. - Tylko, niestety, nieobecna. A on tęskni za nią jak szalony. - Jakież wieści o wynikach przesłuchania?

- Czemu do nich po prostu nie zadzwonisz?

- Bo to nie moja sprawa.

Kate podparła głowę rękami i przyjrzała się bacznie swojemu szefowi.

- Jesteś w niej zakochany, prawda?

- Nie płacę ci za wścibstwo.

- Jestem twoją asystentką. Myślę, że tym razem przyda ci się odrobina pomocy w sprawach osobistych.

- Wystarczy, jak mi zrobisz kawę - zbył ją bezceremonialnie.

- On nie chce iść.

- Słucham?

- Edward. Nie chce iść na przesłuchanie.

- Dlaczego? - Jake zamknął przeglądane wcześniej pliki i popatrzył na Kate bawczo.

- Nie chce na ten temat rozmawiać. Oznajmił matce, że to głupota, nigdzie nie pójdzie i już nie będzie śpiewać.

- Może naprawdę nie chce - odparł, choć nie wierzył w to ani przez chwilę. Chłopiec zapalił się do pomysłu, autentycznie się cieszył, kiedy przyszło zaproszenie na przesłuchanie. Co się stało?

- Widzę się z nią w niedzielę. Coś jej przekazać?

- Nie, sama wie, gdzie mnie szukać.

- Nie przypuszczałam, że tak łatwo dajesz za wygraną.

- Wiesz, że to nieprawda, ale nie zamierzam się za nią uganiać. Poczuj się zaszczytą. Dałem jej wybór, zrobiła to, co chciała. Nie mam zamiaru błagać.

- Nie sugeruję, żebyś błagał, chodzi mi tylko o to, żebyś się nie poddawał tak łatwo.

- Och, na miłość boską, Kate! Otworzyłem przed nią serce, zwierzyłem się z rzeczy, jakich nikomu o sobie nie mówiłem, a ona po prostu odeszła. Czego jeszcze ode mnie oczekujesz? - Zerwał się na równe nogi i tak mocno walnął ręką w parapet, że go zabolęła.

- Jake? - Głos Kate był niepewny, ale nie zamierzała się wycofać. - Przepraszam, nie chciałam wtykać nosa w twoje prywatne sprawy, ale przecież widzę, że jesteś nie-szczęśliwy. I ona także.

- Nic na to nie poradzę. Nie mam prawa ingerować w jej życie. Powiedziała ci, że chciałem jej odstąpić dom w miasteczku?

- Chyba jej na to nie stać? Ma dużo niższy budżet na najem domu.

- Chciałem podarować jej ten dom. Zapisać go na jej nazwisko. Odmówiła, więc zaproponowałem, że zrobię darowiznę na rzecz jej dzieci. Nie przyjęła. Miałem nadzieję, że mając własny dom, poczuje się na tyle bezpieczna i niezależna...

- W gruncie rzeczy nie byłaby niezależna. Czułaby się twoją utrzymanką, a na to jest zbyt dumna. Co innego, gdybyś jej się oświadczył.

- Poprosiłem, żeby została moją żoną. Powiedziała „nie”.

Kate stanęła jak wryta, z otwartymi ustami. Pstryknął w jej brodę żartobliwie i uśmiechnął się bez śladu wesołości.

- Daj sobie spokój. To ponad moje siły. Powiedziałem Amelii, że ją kocham, oświadczyłem się, chciałem jej dać dom, zaproponowałem pracę. Z tego wszystkiego przyjęła ostatnią ofertę, bo dawała jej możliwość ucieczki ode mnie. Byłbym ostatnim idiotą, gdybym nie domyślił się, co mi chce dać do zrozumienia. - Głos mu się załamał. Odchrząknął. - Koniec pracy na dzisiaj. Idę do domu. Do zobaczenia w poniedziałek.

Wyszedł z biura bez oglądania się za siebie. W domu rozsiadł się na kanapie z butelką whisky i silnym postanowieniem, że utopi w niej wszystkie smutki.

Nie udało się.

- Jake wygląda koszmarnie. Ty zresztą też. Powiedział, że ci się oświadczył, ale go odrzuciłaś. No i nie przyjęłaś domu.

- Jake za dużo mówi - burknęła, zamykając drzwi do kuchni, żeby dzieci nie podsłuchały ich rozmowy.

- Czyś ty oszalała? Gdyby taki facet poprosił mnie o rękę, oddałabym mu ją bez zastanowienia.

- Bo jest bogaty? To nie ma znaczenia.

- Nie, Millie. Bo jest dobry, już nie mówiąc o walorach fizycznych. To świetny facet i zupełnie nie rozumiem, czemu do tej pory się nie ożenił. Chociaż... skoro nic na ten temat nie mówi, może jest rozwodnikiem? Jak myślisz?

- Mnie o to nie pytaj. - Amelia zignorowała oczywiste próby wybadania, co wie o prywatnym życiu Jake'a.

- Był bardzo zdziwiony, że Edward nie chce pójść na przesłuchanie.

- A on skąd się o tym dowiedział?

- Ode mnie.

- Czy ty i Jake nie macie w pracy innych spraw poza plotkami na mój temat?

- Och, wiesz, w wolnych chwilach dokonujemy wrogich przejęć, szachrujemy przy sprzedaży akcji, kombinujemy, jak oszukać inwestorów...

- Przestań! Nie chcę tego słuchać!

- Millie, Jake nie jest taki jak David - westchnęła Kate. - Nie robi niczego podobnego. Prowadzi bardzo uczciwy biznes. Tak, kupuje inne przedsiębiorstwa, ale wcześniej bada ich stan finansowy i perspektywy, podejmuje ryzyko, ale bardzo uważnie skalkulowane. Doskonale się zna na swojej branży. Nie krzywdzi po drodze niewinnych ludzi. Gdyby tak było, nie pracowałabym dla niego.

To prawda, pomyślała Amelia, Kate jest człowiekiem o silnym kręgosłupie moralnym, jej świadectwo jest wystarczającym dowodem uczciwości jej szefa. Ale to nie były jedyne obiekcje. Może Jake czuje się samotny i chce wypełnić pustkę po Rachel i Benie? Może widzi w Edwardzie syna, którego stracił?

Edward nie zasługuje na to, żeby być dla kogoś substytutem. Nawet jeśli ubóstwia tę osobę.

- Daj mu przynajmniej szansę. Spotkaj się z nim. Chętnie popilnuję dzieci.

O niczym bardziej nie marzyła. Minął tydzień, a każdego dnia tęskniła za nim coraz bardziej. Reszta życia zdawała się nieskończonością - bezpieczną, ale nudną i samotną.

- Nie próbował się ze mną skontaktować. Gdyby chciał, zadzwoniłby do mnie.

- Dałaś mu kosza, Millie. Nie oczekuj, że będzie się płaszczyć. Powiedział, że wiesz, gdzie go znaleźć.

A więc piłka jest teraz po jej stronie.

- Nie mogę o tym rozmawiać. Dzieci usłyszą. - Za drzwiami słychać było podniesione głosy. - Chodźmy sprawdzić, co się stało.

- Mamy problem. Millie nie będzie mogła skończyć tłumaczenia, które jej posłałeś. Spojrzał na Kate pytająco.

- Co się stało?

- Rufus jest bardzo chory. Przestał chodzić. Amelia zawiozła go do weterynarza. Muszę wziąć od niej Thomasa i odebrać dzieci ze szkoły. Jake, co robisz?

- Jadę z tobą. Przecież nie zostawimy jej samej. Wezmę samochód.

- A twoja ręka?

- Poradzę sobie. Odwiezie mnie Amelia.

Stała przy drzwiach, popychając wózek z Thomasem w tę i z powrotem. Oby tylko przestał płakać, bo i ona się kompletnie rozklei. Gdzie jest Kate?

Na widok samochodu przyjaciółki łzy rzeczywiście puściły jej się z oczu.

- Patrz, myszko, to jest Kate, lubisz ją, prawda? Pojedziesz teraz z Kate.

- Jak on się czuje? - usłyszała nagle za plecami znajomy głos.

- Jake? - wyszeptała z niedowierzaniem, ale błyskawicznie znalazła się w znajomych ramionach. - Jest podłączony do kroplówki. Znieczulili go. Myślą, że miał udar mózgu, ale nie są w stanie zdiagnozować, bo nie mają aparatury. Trzeba go zawieźć do kliniki weterynaryjnej wiele mil stąd, mam za mało benzyny w baku.

- Wziąłem swój samochód. Poprowadzisz, bo nie powinienem tego robić z ręką w gipsie.

- Gdzie Kate? Widziałam jej auto.

- Tutaj, kochanie. Wezmę Thomasa. Daj mi klucze do domu, zajmę się dziećmi.

Rufus był już gotowy do transportu. Prowadząc, zerknęła w lusterko. Jake siedział obok nieruchomego małego ciała ułożonego na tylnym siedzeniu, pilnował kroplówki przymocowanej na wieszaku i głaskał psa delikatnie, przemawiając do niego łagodnym głosem.

Ustawił jej wcześniej GPS, więc nie musiała szukać drogi, ale i tak uważała, że podróż trwa w nieskończoność.

- Dziękuję, że ze mną pojechałeś - powiedziała, gdy już siedzieli w poczekalni kliniki.

- Nie mogłem cię z tym zostawić samej.

- Zawsze lubiłeś tego głuptaska.

A dużo bardziej jego niemądrą właścicielkę, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

- Pani Jones? - Przed nimi stanął weterynarz, który przyjął Rufusa. - Najbliższe godziny będą krytyczne. Nie można jeszcze niczego przesądzić. Pies rzeczywiście miał udar, a dopóki jest znieczulony, nie można ocenić, czy wydobrzeje całkowicie, czy zostaną trwałe skutki. Proszę się liczyć z zaburzeniami równowagi i częściowym niedowładem kończyn. Chcemy go zatrzymać na tydzień, może dłużej.

- Moje ubezpieczenie pokrywa tylko trzy tysiące funtów - zmartwiła się.

- To nieistotne, ja pokryję koszty - powiedział Jake.

- Nie mogłabym... - zaczęła, ale tym razem był nieugięty.

- Nie spieraj się ze mną, Amelio. Nie w tej sprawie. Zabieram cię do domu. - Tym razem to on prowadził, bo ona była zupełnie roztrzęsiona. Oprzytomniała dopiero, gdy pod kołami zazgrzytał żwir.

- Gdzie jesteśmy?

- Kate zabrała twoje klucze, nie dostaniesz się do siebie, a zresztą uznałem, że potrzebujesz trochę spokoju i czulej opieki.

- Rufus nie może umrzeć - rozsłochała się już w domu. - Jak miałabym to wytłumaczyć dzieciom? Straciłyby najlepszego przyjaciela.

Płakała tak bardzo długo, wtulona w jego ramiona, nie wiadomo, czy bardziej z powodu psa, czy siebie. Podejrzywał, że do tej pory nie miała okazji odreagować całego pasma rozczarowań, lęku, wszystkich chwil pełnych gorzkości. Wreszcie czara się przelała.

Spazmatyczny szloch przerodził się w ciche chlipnięcia, wreszcie Amelia podniosła głowę. Była rozczochrana, miała zapuchnięte oczy i ślady łez na policzkach, ale nigdy w życiu nie widział niczego piękniejszego.

- Lepiej?

Pokiwała głową.

W kuchni nastawili wodę na herbatę, włożyli do piecyka zapiekankę, a Jake zadzwonił do Kate.

- Niczego nie można przesądzać, Rufus jest teraz w dobrych rękach. Zatrzymam Amelię u siebie, nie powinna być sama. Zaopiekujesz się dziećmi?

- Oczywiście. Zwolnisz mnie jutro z pracy?

- Ja też nie pójdę do biura. Bądźmy w kontakcie. Dam teraz telefon Amelii.

Słyszał, jak powtarza tę samą relację trzy razy - składając ją po kolei Kate, Kitty, aż wreszcie Edwardowi. W końcu przekazała mu słuchawkę.

- Edward chce z tobą rozmawiać.

- Rufus naprawdę wyzdrowieje? - upewniał się chłopiec.

- Mam nadzieję. - Nie chciał go okłamywać. - To bardzo dobra klinika, ma tam najlepszą opiekę. Jeśli dobre myśli mogą pomóc, to wiele osób życzy mu teraz zdrowia.

- Myślenie nie pomaga - odparł Edward. - Wciąż myślę, jak bardzo chcę z tobą mieszkać, i nic się nie dzieje.

- Nie zawsze dostajemy to, czego pragniemy - przyznał Jake. - Zmieniaj rzeczy, które możesz zmienić, i znajdź w sobie siłę, żeby znosić to, czego nie jesteś w stanie zmienić. Kate powiedziała, że nie chcesz iść na przesłuchanie.

- To nie ma sensu. Nie stać nas, a jeśli Rufus umrze, nie zostawię mamy.

- Najpierw musisz zostać przyjęty, a potem będziesz się martwić o pieniądze. Można zdobyć stypendium. Moich rodziców też nie było stać na opłaty, więc szkolny chór płacił za mnie chesne. A jeśli chodzi o Rufusa, wciąż żyje i są duże szanse, że z tego wyjdzie. Poza tym nie musisz mieszkać w internacie, a wtedy nadal będziesz z mamą.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

- Edwardzie? Nie zatrzaskuj drzwi, póki nie wiesz, co jest po drugiej stronie. Najpierw sprawdź. Dać ci mamę?

- Nie, dziękuję. Powiedz jej tylko, że ją kocham.

- Mam ci przekazać wiadomość - powiedział Jake po zakończeniu rozmowy. - Kocham cię.

Coś - jakby nadzieja - zajaśniało w jej oczach i zgasło.

- To była wiadomość?

- Od Edwarda. - Jake także przez moment miał nadzieję, że Amelia przełamie swoją nieufność. Nic więcej nie może zrobić, by jej dowieść, że ją kocha, a jej rodzina jest jego rodziną, więc powinni mieszkać razem.

- Jake? - szepnęła cichutko. - Przepraszam. Byłam niewiarygodnie głupia. Powtarzałam sobie, że jesteś taki jak David, bo stawiacie sobie podobne cele, ale ty w niczym go nie przypominasz. Odniosłeś sukces, bo ciężko pracujesz i jesteś w tym dobry, nie szukałeś drogi na skróty. Jesteś cudownym ojcem. Obserwowałam cię cały czas - dałeś im więcej ciepła niż David przez całe ich życie. A Rufus? David chciał go uspić. Ty go ratujesz, bo rozumiesz, jak jest ważny. Zawsze wybierasz to, co jest słuszne i dobre. Jeśli twoja propozycja nadal jest aktualna, jeśli mnie kochasz i chciałbyś mnie poślubić, nic nie uczyni mnie szczęśliwszą niż bycie twoją żoną.

- Poczekaj, czy ja dobrze rozumiem? Czy właśnie powiedziałaś „tak”?

- Jeśli tylko mnie jeszcze chcesz.

- Nawet wiem, jak ci tego dowiodę - zawołał, niosąc ją na rękach do swojej sypialni.

Zapach spalonej zapiekanki dotarł aż na górę, ale nie mieli głowy do jedzenia.

- Trzeba powiedzieć dzieciom i zabrać się za planowanie wesela - oznajmił. - Co sądzisz o styczniowych ślubach?

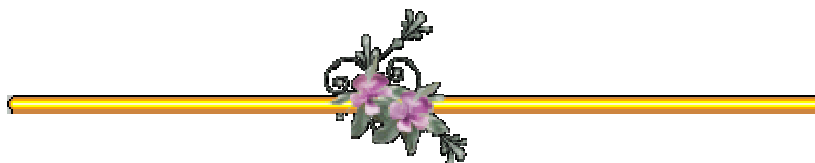
- Do końca miesiąca są tylko dwa tygodnie - zawołała. - Nie sądzisz, że to mało czasu?

No i w końcu to był maj, a nie styczeń.

Edward, który przez kilka tygodni ćwiczył pod kierunkiem dyrygenta w swojej nowej szkole, zaśpiewał hymn, który wycisnął im obojgu łzy z oczu.

- Czy już ci powiedziałam, jak bardzo cię kocham? - spytała szeptem Amelia.

- Z tysiąc razy, ale jeśli o mnie chodzi, chcę słyszeć to codziennie do końca życia -
odpowiedział jej mąż.



TLR